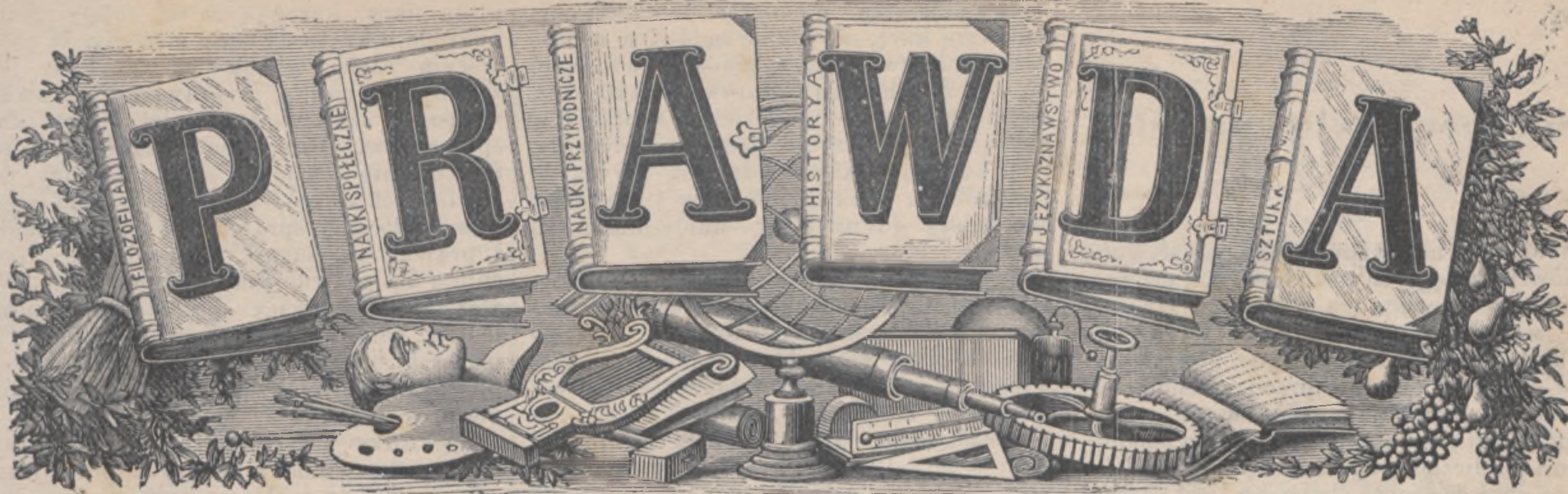
№ 17. Warszawa, dnia 25 (13) Kwietnia 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Zielna Nr. 7-a.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

STRACONY UROK.

Anglicy, patrząc na Gladstone'a, coraz goręcej czczą... Beaconsfielda, którego cenią obecnie jak — utracone zdrowie. Minęły piękne dni Aranjuczu, piękne dni nabycia Cypru, kongresu berlińskiego i wszystkich tych szczęśliwych cięć, które pozwalały odkrawać kawał po kawale z pieczeni pod Złotym Rogiem i zjadać bez podziału z głodnym współzawodnikiem, wyciągającym jednocześnie rękę. Te piękne dni minęły ze śmiercią Beaconsfielda.

Na bankiecie, poświęconym jego pamięci, lord Churchill — jak donosi telegraf — rzekł przed kilku dniami: gdyby prowadzone dzisiaj układy raz na zawsze nie zażegnały wrogich zamiarów Rosyi, natenczas panowanie Anglii w Indyach poniosłoby cios śmiertelny, a upadek potęgi wielkobrytańskiej byłby już tylko kwestyą czasu. Kto mleka swej mądrości politycznej nie ssie z Biblii i Homera, kto — jak Gladstone — nie ugrzązł w nałogach i uporach, ten przyzna słuszność powyższym słowom. Przegroda, dzieląca Anglię od Rosyi w Azyi, była naprzód górą, później — wałem, później — ścianą, teraz jest już — papierem, a w chwili gdy ten papier się przedrze, brytyjski wieloryb, groźny na morzu, będzie musiał zdaleka przypatrywać się falom, które z północy na jego posiadłości spłyną.

Jeżeli Gladstone pod maską swej uległości nie ukrył jakiegoś przebiegu, złożył on więcej dowodów pokory, niż potężne państwo, zagrożone w swych najważniejszych interesach, złożyć może. To też gazety rosyjskie drwią pełnem szyderstwem z Angli. „Śmieliśmy się — powiadają *Petersb. Wiedomosti* — kiedy *Pall Mall Gazette* mówiła o „cieniu ustępstwa" ze strony Rosyi, zapewniając, że dość będzie tego *cienia* dla obrażonej angielskiej miłości własnej. Teraz należy chyba wierzyć w to domaganie się *cienia*, a może nawet w chęć Rosyi pocieszenia współziomków lorda Lyttona „błyszczącem widmem" nad brzegami Heirudu. Kto czyta między wierszami ostatnich doniesień ministeryalnych *Daily News*, może dojść do wniosku, że gabinet brytański prowadzi dwojaką grę: jedną dla publiczności, drugą dla siebie. Publiczność zapewnia, że trzeba przeprowadzić poważne śledztwo „co do nadużyć, jakich rosyanie dopuścili się z powierzoną im przez anglików władzą," i na przeprowadzenie tego śledztwa wymaga, ażeby publiczność cierpliwie czekała całe dwa tygodnie. Tymczasem zaś, korzystając z pozyskanej w ten sposób zwłoki, ministrowie królowej starają się namówić Rosyę, aby im dała choć *cień* ustępstwa dla zaczepienia się o coś. Proszą o drobną bagatelę i przyrzekają, że zrobią z niej perłę stworzenia, w tej postaci podadzą ją narodowi angielskiemu i wasalom jego, wmawiając w nich, że w tej właśnie bagateli leży ustępstwo, o które anglicy nieustannie się dobijali i które nareszcie pozyskali." A dalej: „Może nie należałoby dawać nawet „cienia ustępstwa" chociażby najdrobniejszego, a to ze względu, że Anglia ten *cień* potrafi rozdmuchać do znaczenia „poważnych ustępstw ze strony Rosyi" i będzie zapewniała cały świat, że otrzymała zupełne zadośćuczynienie za obrazę wyrządzoną przez nas afgańczykom. Nie szkodziłoby też, ażeby Anglia przełknęła pigułkę, zrobioną własnowolnie i aby połknęła ją w oczach swoich wasalów i całej Europy; zdałoby się to na przyszłość. Opinia publiczna Europy, której się dyplomaci tak bardzo obawiają, nietylko nie wzięłaby nam za złe tej nauczki danej Anglii, ale nawet powiedziałaby nam Bóg zapłać za „ukrócenie opornej," której samowolne obyczaje już się dały we znaki wszystkim zmuszonym mieć z nią do czynienia."

Gazety angielskie robią ciągle poważną minę i usiłują, jeśli nie wmówić, to podsunąć domysł światu, że ich rząd nie zgina się grzecznie, lecz w układach dyplomatycznych przemawia groźnie. Niestety, junactwo prasy nie pokryje faktycznej bojaźni, która wycieka wszystkiemi porami.

Bądź co bądź — minęły dni piękne dla Anglii; innemi słowy: bez względu na koniec zatargu, przed oczami naszemi rozpoczął się wielki proces historyi, wielkie starcie dwu pierwszorzędnych potęg materyalnych, które w skutkach swoich będzie miało wpływ niemniejszy od zapasów francuzko-niemieckich. Chwilami, po zobojętnieniu czynnych w sądzeniu tej sprawy i mylących jej wynik uczuć — chwilami zdaje się, że w Europie nieubłagane losy walą drugie mocarstwo — Anglię. Od dawna już tak ona się nie chwiała, nie zdradzała takiej słabości, nie przemawiała językiem takiej pokory, który przystoi zaledwie satelitom, a nie słońcom systemu politycznego. Jest w tym upadku pewien majestat, pewna groza. Potężne mocarstwo, które najszerzej rozpostarło swe wpływy i władzę, które oparło się samo jedno szturmom Napoleona, które ze swej pływającej po morzu wyspy zarzucało sieci na wszystkie części kuli ziemskiej, które przez tyle wieków było szkołą rozwoju politycznego Europy — to mocarstwo nagle okazuje niemoc, a przynajmniej otaczający je urok ćmi się, gaśnie. Trzeba istotnie wielkiej dojrzałości, niezmiernie dużo zimnej krwi w żyłach synów Albionu, ażeby nie ujawnić głębokiego smutku, ażeby nie skarżyć się głośno na losy, czy też na Gladstone'a, który ich wyrok spełnia. Bo — powtarzamy — chociażby anglicy utrzymali dla siebie, czy dla emira Herat, nawet Pendżeh, lub inne sporne

miejscowości, jedną zdobycz stracą—urok siły.

Samosąd włościański.

I.

Jedną z najważniejszych właściwości sądów przysięgłych jest obowiązująca, nienaruszalna powaga ich orzeczeń. Dwunastu wylosowanych wolnych obywateli, niekrępowanych żadnymi przepisami, odpowiedzialnych tylko przed własnem sumieniem, wyrokuje o oskarżonym obywatelu. Taki wyrok jest głosem swobodnej opinii publicznej, opartej na całym materyale, jaki dać może śledztwo; jest głosem społeczeństwa, jego wolą, opartą na współczesnych wyobrażeniach, potrzebach i dążnościach. Nie może też on być nigdy wyrazem prawdy oderwanej, sprawiedliwości etycznej. I moralność i sprawiedliwość i prawda noszą tu cechy i barwę chwilowych wyobrażeń i wymagań danego społeczeństwa. Tu doraźni sędziowie wydają doraźny sąd w pewnym określonym wypadku, nie powodując się wcale teoretycznymi wywodami o prawie, przewinieniu, poczytalności itp.

To też przyznając takim wyrokom całą powagę sądów zbiorowych i nienaruszalną obowiązkowość ich w każdym wypadku, niedopuszczającą krytyki, mamy zupełną racyę zapisywać je, jako wyniki pewnego stanu społeczeństwa, jego wyobrażeń i potrzeb. Mniej więcej pokaźna cyfra jednakich orzeczeń w pewnej kategoryi przestępstw daje możność wyciągać wnioski o stanie opinii powszechnej. Ściślejsze badania statystyczne mogłyby nawet rzucić światło na pewne kierunki, po których podąża społeczeństwo. Nie posiadając tego rodzaju materyałów, musimy poniekąd zatrzymywać swą uwagę na otrzymanych wrażeniach z praktyki sądowej. Jedno właśnie z takich wrażeń nasuwa się mi pod pióro.

Kto w ostatnich czasach baczniejszą zwracał uwagę na sprawozdania z posiedzeń sądów kryminalnych, ten musiał dostrzedz, że nadzwyczaj często uniewinniani są oskarżeni za rozmaite występki, którym można dać nazwę ogólną — *samosądu.* W Paryżu Hugues zabija sześciu strzałami swego oszczercę, wymierza dowolnie najsurowszą karę, nie ufając sądowi w zadość uczynieniu swej krzywdzie—uniewinniono ją. W Żytomierzu Cezaryna Statkiewicz, opuszczona przez uwodziciela Wołka-Łaniewskiego, skarży go, lecz bezskutecznie; więc kupuje w Kijowie sztylet, wraca do Żytomierza, szuka winowajcy i zdradziecko zabija go na ulicy—uniewinniono ją także.

Są to świeżo, powszechnie znane fakty. Dla ilustracyi naszych wrażeń moglibyśmy zebrać podobnych wypadków dosyć. Główną pobudką wszystkich podobnych uniewinniających wyroków będzie: *brak w społeczeństwie dostatecznej prawnej obrony dla poszkodowanego.* Pani Hugues zabija potwarcę, bo jej wielka krzywda woła o większą pomstę, niż ta, jaką dać może prawo francuskie. Panna Statkiewicz zabija uwodziciela, gdyż władze ją wyśmiały, nie pomyślawszy o zadośćuczynieniu i zabezpieczeniu dziecka. Obie czują się opuszczone przez kodeks, same sobie pozostawione. Rozpacz wkłada im do rąk oręż, a poczuwszy jego siłę, same sądzą i same karzą. Prokuratorya pociąga je do odpowiedzialności za zabójstwo, lecz sędziowie—współobywatele nie mogą ich uznać za winne, nie mogą z niemi nie współczuć, bo na ich miejscu możeby nie inaczej postąpili. Publiczność przyklaskuje podobnym wyrokom i zagłusza głos stróża prawa, wołający, że stał się czyn zbrodniczy, że takie samowolne wymierzanie kary jest wrogiem wszelkiemu porządkowi publicznemu, zwykłem zabójstwem z pobudek osobistych.

Podobny samosąd należy odróżniać od zabójstwa, spełnionego pod wpływem nagłego, silnego afektu, kiedy morderca traci chwilowo równowagę swych sił moralnych i przestaje władać sobą, jak to bywa w razie nieprzewidzianej zniewagi, przypadkowego odkrycia zdrady małżeńskiej itp. Przy takim zaś samosądzie, gdzie zabójstwo następuje znacznie później po doznanej krzywdzie, jest obmyślanem i przygotowywanem, tam o fizyologicznym afekcie mowy być nie może. W pierwszym przypadku uniewinniamy podsądnego, rozumując tak: cóż on winien? nie władał sobą, stała się nie zbrodnia, lecz nieszczęście. Uniewinniając zaś tego, co samowolnie sprawiedliwość sobie wymierzył, zawsze mówimy: łotr poniósł zasłużoną karę od swej ofiary; karać ją za to, żeśmy jej nie nagrodzili krzywdy—nie możemy. W pierwszym razie wyrok przysięgłych jest zgodnym z nauką, z prawem i z prawdą; w drugim zaś jawna zachodzi między nimi sprzeczność. Prawo żąda okiełznania samowoli, nie uznaje ani sądu, ani kary, pochodzących ze źródeł po za obrębem organów społecznej sprawiedliwości, a nauka i prawda wymagają bezwzględnego szacunku dla prawa, jako jedynej podstawy wszelkiej organizacyi społecznej. Widzimy jednak, że sąd przysięgłych w takich wypadkach buntuje się przeciw tym niewątpliwie społecznym zasadom, a publiczność mu przyklaskuje.

Niektórzy z powodu tego starcia przychodzą do wniosku, który i prasa jasno zaznaczyła, że społeczeństwo upada, gdyż przenosi interesy jednostki nad obowiązki i potrzeby ogólne. Opinia publiczna, która uświęca samowolę, zdradza chorobliwy stan ogółu: równowaga stracona, siła odśrodkowa przeważyła dośrodkową. Obawy te jednak są płonne i przedwczesne, co łatwo zrozumiemy, zwróciwszy uwagę, że społeczeństwo i sądy przysięgłych tylko w takich wypadkach dopuszczają i znoszą prywatną inicyatywę w wykonywaniu sprawiedliwości, kiedy organa społeczne okazują brak należyty mocy. Tylko taki samosąd znajduje współczucie, który był wynikiem niedokładności prawa.

Pewnikiem jest, że ustawy nie rządzą życiem społecznem, lecz są ich wytworem, normą tylko wyrobionych przez to życie pojęć. Jako takie zawsze one opóźniają się, i mamy z jednej strony prawa zastarzałe, skorupy dawno umarłych pojęć, a z drugiej—czujemy ciągły brak prawnych obowiązkowych norm dla nowych zdobyczy na polu stosunków społecznych. Obowiązujące, lecz niewłaściwe, sprzeczne z dążnościami społeczeństwa, prawo staje się martwą literą, bezwładnym organem, który tylko zawadza; życie zawsze potrafi ominąć go i znaleść sobie ujście, stwarzając tak zwane prawo obyczajowe. Jeżeli przepisy prawne nie zadawalniają potrzeb ogólnych, to społeczeństwo, posiadające energię twórczą, nie może się zamknąć w tych ciasnych już ramach, rozbija je i życie poczyna funkcyonować bez norm, bo „nie zakląć losów pieczęcią, nie spowić ducha w pergaminie.“ W wykolejonem

---

Sam sobie winien

(powiastka galicyjska).

I.

„Wystawiony na publiczną sprzedaż grunt pod nr. 29 wraz ze wszystkiemi zabudowaniami gospodarskiemi (była tam tylko jedna chata ze stajenką na krowę, wszystko pod wspólnym dachem, skleconym z dawno przegniłych tarcic), własność Mykoły Procia, wartości 150 złr. na zaspokojenie pretensyi Mordki Szindera w sumie 40 złr. Kto da więcej?“

Całą tę odezwę wyrzucił z ochrypłego gardła woźny sądowy, który zarazem pełnił urząd licytatora. Wypowiedziawszy ją, uderzył kilka razy młotkiem w deskę, opartą na kłodzie i zastępującą miejsce stołu.

— Kto da więcej powtórzył. Suma żądana 40 złr.

Dokoła stało kilku wieśniaków w nędznych guńkach, w słomianych kapeluszach na głowie, w towarzystwie dwóch czy trzech pejsatych, brudnych żydów. Wszyscy oni gwarzyli pomiędzy sobą, spoglądając po podwórku, na którem odbywała się licytacya, ale na okrzyk woźnego nikt nie odpowiadał.

Opodal od zgromadzonych, obok rozwalonego płotu, siedział na kłodzie sam Mykoła Proć, wysoki mężczyzna około 35 lat wieku, chudy jak szczypka, z obliczem wyssanem nędzą i chorobą. Na kolanach trzymał chłopczyka pięcioletniego, który tulił się do ojca, spoglądając z trwogą na obcych ludzi, zgromadzonych przed chatą. Tuż obok stała Prociowa z małem dzieckiem na ręku i zapaską ocierała łzy, cisnące się gwałtem do oczu.

— Kto da więcej? — wołał woźny, spoglądając po obecnych.

W tej chwili przystąpił do niego jeden z żydów — sam Mordka Szinder — i dotknąwszy lewą ręką jarmułki, rzekł:

— Nu, po co, proszę pana, dawać więcej? Ja dam czterdzieści.

— Mordko Szinder daje czterdzieści; kto da więcej? Po pierwszy raz! — krzyczał woźny.

Z obecnych nikt się nie odzywał.

— Po drugi raz!

Wszyscy milczeli, słychać było tylko głuche łkanie Prociowej.

— Po trzeci raz!

Głośne stukanie młotka o deskę było odpowiedzią na ten ostatni okrzyk. Mordko Szinder za swój dług 40 reńskowy został prawnym właścicielem gruntu i gospodarstwa oszacowanych na 150 złr., a przedstawiających w istocie wartość co najmniej 400.

— Nu, jaki ty głupi — zwrócił się do Mykoły. Nie mówiłem, zgódź się ze mną, oddaj dobrowolnie połowę gruntu. A teraz, widzisz, do mnie cały należy!

— Bóg cię pokarze za naszą krzywdę, ty pijawko ludzka! — zawołała, szlochając, Prociowa.

— Za co ma mię Bóg karać? Alboż to ja nie podług prawa zrobił? Ciebie niechaj Bóg skarze, ty paskudnico jakaś, ty!.. Zaraz mi się tu wynoś z mego podwórza!

Prociowa żywo otarła łzy i chciała coś jeszcze odpowiedzieć, ale Proć skinął na nią ręką i rzekł złamanym, głuchym głosem:

— Daj mu pokój! Nic tu nie pomoże nasze gadanie! Bóg nas pokarał, bo taka była jego wola... Chodźmy:

Po tych słowach wstał, ujął za rękę chłopca i oddalił się, a za nim poszła spłakana kobieta z małą dziecina na rękach.

— Oj tak, tak, kumie, i znowu jednego gazdy nie stało w gromadzie — gwarzyli wieśniacy na dworze, kiwając głowami.

— Ha! widno dopust boży na naród chrześciański...

— Et, dopust boży! — bąknął jeden trochę porządniej ubrany, ot naród sam sobie winien — i tyle!

— Ej kumie, kumie — odparł drugi, nie mówcie tak. Łatwo to mówić, kiedy z łaski Boga wam dobrze. A biedny, niechby i najporządniejszy, to przecie jedną koszulą dwóch nie odzieje.

z drogi prawnej społeczeństwie ludzie często-
kroć mimowoli wpadają w ostre starcia z prawodawstwem, a stąd już tylko jeden krok do swawoli, w którą same losy popychają ogół. Okiełznać taką swawolę— trudno; jedynym ratunkiem jest zmiana norm prawnych.

Do takich protestów społecznych należy zaliczyć i uniewinniające wyroki w sprawach samosądu. One powinny służyć dla prawodawcy za jasną wskazówkę niedokładności machiny ustawodawczej, jej nieodpowiedniości w określaniu pewnych stosunków życiowych.

W szeregu najrozmaitszego gatunku uniewinnianych przez głos opinii publicznej samosądów zasługuje na bliższą uwagę jasno zarysowany na tle kryminalnej praktyki na Rusi, a szczególniej na Podolu samosąd właścicieli nad koniokradami. W każdym niemal powiecie gub. Podolskiej corocznie wypływa przed kratki sądowe po kilka procesów o zabicie koniokrada lub zadanie mu męczarni przez włościan. Po za tymi procesami kryje się mnóstwo wypadków mniej gwałtownej natury, na które nikt nawet uwagi nie zwraca, a poszkodowani obawiają się skargi zanosić.

Typowy samosąd włościański nad koniokradami przebiega w sposób następujący. Zwykł on najczęściej objawiać się w porze zimowej, a szczególniej podczas świąt Bożego Narodzenia (od 24 grudnia do 7 stycznia). Jest to najdogodniejsza pora do kradzenia koni, ze względu na długie noce, i do zbiorowego prześladowania złodziei, ze względu na swobodny czas od pracy. Złapany na gorących śladach, lub na gorącym uczynku rabuś, jeśli już posiadał sławę przekonanego koniokrada i parę razy odsiedział więzienie za swe rzemiosło, odprowadzonym bywa po zbiciu należytem do władzy miejskiej—starosty i setnika. Ci badają go za pomocą najrozmaitszych tortur—dość pierwotnych, dla wywiedzenia się, kto czyje konie ukradł i gdzie one się znajdują. W początku używają do tego rózgi, kija, pięści itp. Gdy to nie skutkuje, kopią ofiarę nogami w piersi, brzuch i głowę; ostatecznie prowadzą do „swołoka.“ Jest to ulubiona przez lud egzekucya, zachowywana w rozmaitych okolicach Rusi „Swołokiem“ nazywają belkę, idącą trochę niżej od pułapu, tak że można na niej sznur zawiesić. Delikwentowi związują nogi, wieszają go na dół głową i biją, wymagając prawdziwego zeznania. Każdy z poszkodowanych, a jest ich zawsze we wsi nie mało, czuje się w obowiązku odwetować swe straty na pojmanym złodzieju. Męczarnia trwa zwykle tak długo, póki namiętności nasycone nie zostaną. Wodzenie do swołoka odbywa się po kilkakroć; powtarzanem bywa zwykle na żądanie nowo przybyłych włościan, którzy się na pierwszą indagacyę spóźnili.

Okrucieństwo objawione przy tem bywa najrozmaitsze. Zależy to od stopnia rozdrażnienia włościan, a jeszcze częściej od wypadkowych zdarzeń, którym tak ulegają wybuchy namiętności ludu. Od zwykłego pobicia pięściami i rózgami dochodzą sędziowie do pieczenia rozpalonem żelazem, wbijania w pięty ćwieków, rozsiekania głowy na drobne części itp. Niedawno *Zaria* podała szczegóły rozprawy z koniokradem w pow. Kozieleckim, gdzie po zamęczeniu złodzieja chciano w podobny sposób rozprawić się z jego rodziną, aby złe nasienie nie rosło; lecz nie znalazłszy nikogo, wrzucili do płonącego pieca niemowlę w chacie pozostawione; tylko wypadkowo litościwa ręka kobieca uratowała niewinną ofiarę.

Tortury i katusze kończą się dwojako, albo śmiercią złodzieja, albo przebaczeniem. W tym wypadku winny z całą swoją rodziną błaga, obiecuje poprawę, zaklina się i „zemlu jist,“ że nie tylko sam nic nie ukradnie we wsi, lecz będzie ją od innych rabusiów ochraniał. Przy takim pomyślnym obrocie rzeczy, podsądny wraca swobodny na łono rodziny, wylizuje się z ran i sprawa nie idzie dalej.

We wszystkich niemal podobnych wypadkach samosądu możemy zaznaczyć następne ogólne cechy: 1) Delikwent zawsze jest koniokradem z zawodu, zwykle już sądzonym i nieraz bitym za złodziejstwo. 2) Rozprawa z nim nosi charakter urzędowy: albo się odbywa pod opieką wiejskiej władzy, albo w jej obecności, publicznie, najczęściej koło karczmy. Przyjmuje w niej udział prawie cała wieś, zwykle ludzie należący do zgromadzenia wiejskiego, najporządniejsi i najpoważniejsi gospodarze. 3) Tortura w początku jest tylko badaniem śledczem i powoli przechodzi w wymierzanie kary przez każdego zainteresowanego zosobna. 4) Zamiary sędziów w początku ograniczają się chęcią „dania nauki,“ odstraszenia, i dopiero w miarę wzrastania namiętności dochodzą do jasnej chęci zgładzenia złodzieja. 5) Tylko śmierć winowajcy, lub wypadkowy protokół policyjny, spowodowany niemożebnością zaniechania sprawy, pociągają włościan do sądowej odpowiedzialności. 6) Wytoczona za podobny samosąd sprawa kryminalna przeciw włościanom uważaną jest przez wioskę za sprawę publiczną do tego stopnia, że wieś daje publiczne pieniądze świadkom i oskarżonym na koszta podróży, a nawet na zapłatę obrońcy.

(D. n.).

C. Neyman.

DZIEJE KAPŁAŃSTWA.

II.

Ostatni rozdział części pierwszej Lippert poświęca szamanizmowi w Azyi i na ostatecznym krańcu Europy północnej. U ludów tam zamieszkałych, po większej części do rasy mongolskiej należących, Szamanem (dosłownie: pustelnikiem) nazywa się każdy kapłan. Szamanizm, podobnie jak wyobrażenia religijne ludów, któreśmy poprzednio poznali, opiera się na pojęciu duszy od ciała oddzielonej, pojęcie zaś to ściśle związanem jest z wypadkiem śmierci. Dusze zmarłych, według wiary szamanitów, w postaci upiorów i strachów zapełniają powietrze, a niebezpieczeństwa, jakiemi zagrażają żyjącym, odwrócić mogą tylko szamani. Następstwem podobnej wiary, oczywiście, jest wielki wpływ i uprzywilejowane stanowisko tych ostatnich wśród buryatów, lapończyków, tatarów ałtajskich itp. plemion koczowniczych. Żeby zjednać sobie względy duchów, a w oczach ludu wzbudzić strach, szamani dziwacznie przystrajają się na czas obrzędów. Noszą długie, wschodnie, najczęściej skórzane płaszcze, poobwieszane zwykle i pokryte prawie figurkami blaszanemi, dzwonkami, pierścionkami, szponami orlemi i sowiemi, wężami wypchanymi itp. Drżąc, wkładają tę odzież, a za główne narzędzie porozumiewania się z duchami służy im bęben. Do dzieła swego przystępują wśród ciemności

---

— Gadajcie zdrowi — odpowiedział bogatszy. Pracować trzeba więcej, rąk przykładać!

— Oj, a czyż to kumie biedny nie pracuje, aż mu nieraz oczy z głowy wyłażą... Ale co to wszystko pomoże? Ot, my tu stoimy, a kto zgadnie, czy jutro nie spotka którego z nas to samo, co dziś spotkało Mykołę?

— Tere fere... — odparł bogatszy. Nie bójcie się; dobremu, porządnemu nie trafi się to z pewnością, chyba takiemu próżniakowi jak nasz Mykoła. Mówcie, co chcecie, a ja zawsze powtarzać będę swoje, że sam sobie winien!...

II.

Świat szeroki — w którąż stronę zwróci się biedak nieszczęśliwy, gdzie złoży głowę? Mykoła Proć powlókł się w dół siołem, niby senna mara, a za nim postępowała żona, łkając i zawodząc jak za umarłym. Ludzie pracowali w polu. Był to skwarny dzień letni. We wsi nie widać było żywej duszy. Płacząca kobieta przyspieszyła kroku i zrównała się z mężem.

— Mykoło, dokąd ty idziesz?

— Do Świcy — odpowiedział chłop ponuro.

— Jezusie mój, co on mówi?

— No, a gdzież indziej pójdę?

— Niechże nas Bóg ochroni, Mykoło, nie gadaj tak! Ot, tu opodal mieszka moja ciotka, pójdźmy do niej, będziemy latem zarabiać w polu, a zimę, da Bóg, przebiedujemy jakoś.

— A potem?

— Potem... potem znowu będziemy pracować i wyżyjemy przecież od biedy między dobrymi ludźmi.

— Dobrymi?... Oj wartoż żyć z nimi! Nic — nic z tego nie będzie.

I Mykoła puścił się w drogę. Żona przytrzymała go za rękę.

— Bój się Boga człowieku, co ty chcesz robić? Grzech pomyśleć o tem! Cóż ja pocznę nieszczęśliwa z dziećmi małemi?...

— A co ja tobie, co dzieciom pomogę? Głupia, puść mię!

Ale ona nie puszczała, tylko ciągnęła go uparcie przez mostek na podwórko ciotki.

— Wiesz co — rzekł w końcu, jeżeli chcesz, to idź sama do ciotki.

— A ty?

— Ja nie pójdę.

— Czemu?

— Bo nie mogę jednej chwili żyć w tem przeklętem siole! Jeśli mię siłą przytrzymasz, to się powieszę. Toż lepiej puść!

— Ale którędyż pójdziesz?

— Pójdę szukać zarobku na Ludwikówkę do tartaku.

— Do tartaku? Boże mój, wszakżeż ty słaby jak mucha! Cóż ty tam zarobisz?

— Nie bój się, znajdę robotę, a że tam teraz potrzebują robotników, to i mnie przyjmą.

— Kiedyż powrócisz?

— Jak tylko zarobię tyle, żebym mógł wykupić grunt od żyda. Prędzej nie!

Popatrzyła na niego zdumiona, trwożnym wzrokiem.

— Mykoło, co ty mówisz?...

— To, co słyszysz.

— Ależ...

Nie mogła dokończyć, w gardle ją coś dławiło.

— Albo zarobię, albo zginę, co mi po takiem życiu! Bywaj zdrowa!

Ucałował żonę i dzieci i powolnym, chwiejnym krokiem poszedł przed siebie gościńcem. Ona płacząc, patrzyła za nim z mostka, póki nie zniknął na skręcie za pagórkiem.

III.

Rok minął od tego czasu. Znowu lato. Słońce z pogodnego, jasnego nieba obsypuje żarem wysokie łyse góry, zielone moczarki nad rzeką i fabryczne zabudowania parowego tartaku na Ludwikówce. Świca szumi i obryzgiwa pianą okrągłe kamienie, na górach, nieogołoconych jeszcze z drzew, ciemnieją świerkowe lasy, owite mgłą siną, przejrzystą. Wśród kotliny rozsiadła się fabryka, otoczona ze wszystkich stron, niby olbrzymim murem, wysokimi stosami grubych pni świerkowych. Z czerwonego komina bucha dym, z rur rozlega się przeraźliwy świst, w wnętrzu fabryki słychać

nocnych i przy wielkim, umyślnie na ten cel rozpalonym ogniu. Skaczą w koło niego i po nad nim, wykrzywiają twarze, machają rękami i niezrozumiałe jakieś szepczą wyrazy, aż w końcu dają znak, że duch się zjawił i poczynają zadawać mu pytania, grozić, prosić, przyrzekać i dawać mu zlecenia. Potem podrzucają w górę pałeczki od bębna, lub inny jaki przedmiot, który miała na sobie osoba w proroctwie zainteresowana, czapkę, albo coś podobnego, pragnąc niby za ich pośrednictwem sprowadzić na ziemię odpowiedzi, przykładają ucho do bębna, przyczem doznają dreszczów, trzęsą się i pocą. Wszystko to widzieliśmy już u dzikich w Brazylii, Polinezyi i u innych. Mała tu jednak wytworzyła się różnica. Ponieważ szamanici wyobrażają sobie fetyszów swoich inaczej, mianowicie nie pod postacią kostek, chrabąszczów lub ptaków, które zawsze można mieć pod ręką, ale tygrysów, niedźwiedzi, wilków i wężów jadowitych—więc kapłani ich do niewinnego względnie uciekli się fortelu. Ponieważ — rzekli sobie — niedźwiedzie i tygrysy nie chcą przyjść do proroków, trzeba przeto, aby prorocy poszli do nich. Objawili tedy ludowi, że w bębnach słyszą głos duchów; gdy głos ten jest dla nich niezrozumiały, padają zemdleni, a w czasie omdlenia dusza ich opuszcza ciało, przenosi się w góry, lasy i przepaści, i tam swobodnie rozprawia z duchami. Kapłaństwo w rodzinach jest dziedzicznem, znajomość form i zwyczajów, oraz samo posiadanie fetyszów, przenoszące z ojca na syna nietylko jako skarb święty, ale jako kapitał zarazem, sowite dający utrzymanie. Chociaż dziedziczność jest prawidłem, od czasu do czasu przecież do stanu kapłańskiego przyjmowani bywają uczniowie innego pochodzenia. Nauka ta jest mozolną i długotrwałą, dopuszczane są do niej dzieci obojga płci, a pierwszą i główną kwalifikacyę stanowi chorobliwe usposobienie kandydatów.

Lippert dochodzi do wniosku, że szamani żadnego nie wywarli wpływu na umoralnienie ludów, wśród których działali, ani w niczem nie przyczynili się do uszlachetnienia ich pojęć religijnych.

Meksyk starożytny wraz z państwami Maja i Muiscas w Ameryce środkowej, niemniej Peru na wzgórzach i dolinach bocznych Kordylierów, już w czasie odkrycia znajdowały się w takim stanie uporządkowania życia społecznego, który można nazwać cywilizacyą. Ludzie tam stałe mieli siedziby swoje, a utrzymywali się już nie z myśliwstwa, ani pasterstwa wędrownego, którego wogóle nie znali nigdy. Pożywienie ich stanowiły głównie płody pól, które pielęgnowali i uprawiali. Mieszkali w trwałych domach, po części w ludnych miastach, budowali wodociągi, gościńce i mosty, wyrabiali sprzęty, służące do wygody i ozdoby w mieszkaniach, przetapiali i odlewali kruszce szlachetne, prowadzili handel i mieli jarmarki dobrze uorganizowane. Właściwego pisma nie znali jeszcze, ale posiadali sztukę obrazowego przedstawiania przedmiotów, a nawet całego szeregu wypadków.

Takiemi mniej więcej słowami usprawiedliwia Lippert pomieszczenie dziejów kapłanów meksykańskich na czele opisu kapłaństwa w dziedzinie cywilizacyi.

Wykazawszy, jak w Meksyku starożytnym, po wyparciu autochtonów, którzy sami nazywali się „synami białego węża,“ osiedli totlekowie, następnie chichimekowie, a w końcu aztеki, oraz zwróciwszy uwagę, że podstawą pojęć religijnych u wszystkich tych ludów są już nie zwierzęta lub ciała martwo, lecz słońce, księżyc i gwiazdy—zaznacza, że bogiem zwierzchniczym u azteków jest „huicilopochtli,“ żywe drzewo genealogiczne wszystkich wyrosłych zeń fetyszów. Tych ostatnich poczet był bardzo liczny, a liczniejszym jeszcze był zastęp tych, którzy z fetyszami w bezpośrednich pozostawali stosunkach i ludziom prawdziwą ich tłomaczyli wolę— zastęp kapłanów. W samem mieście stołecznem liczba ich wynosiła 5,000, a w kraju całym miały być miliony. Tylko za pomocą takiej armii posiłkowej jedno plemię małe było w stanie zawładnąć ziemią tak bogatą, rozległą i ludną. Czarne to hufce—czarnym był kolor ich szat bawełnianych—składały się nietylko ze szlachty, ale obejmowały także kapłanów z ludu, a związek hierarchiczny ściśle łączył wszystkie z władzą państwową. Kapłani ci— podług zdania J. G. Müllera—zajmowali się służbą bożą, nauką, dodawaniem odwagi w czasie wojny, wykonywaniem sztuki lekarskiej i wychowywaniem młodzieży po seminaryach. Cytując to zdanie jako trafne, Lippert robi uwagę, że wyrażenia w niem są nieco za szumne; bo cokolwiekbądź niewielką była nauka i sztuka lekarska, jaką mogli uprawiać kapłani u azteków.

Nadto dodaje, że w zestawieniu tem Müller przeoczył czynność najważniejszą, a mianowicie kierownictwo spraw publicznych przez pośredniczenie w objawianiu woli bożej, co było wyłączną atrybucyą kapłanów. Zgromadzenia duchowne stanowiły już tu formalne zakony, a kapłaństwo wogóle tak hierarchiczny przybrało porządek, iż bez namysłu można je nazwać państwem w państwie. Podobnie jak godność królewska, tak i urząd mający przodować hierarchii duchownej obsadzanym był z wyborów, które w takich razach naturalnie ograniczały się jedynie do przedstawicieli rodów najznakomitszych. Dwu było przodowników takich czyli arcykapłanów, jeden „testeuktli,“ boskim panem zwany, drugi—„huajteokwiskwi,“ wielkim kapłanem. Pierwszy z nich udzielał namaszczenia mającemu wstąpić na tron królowi, czyli faktycznie nadawał mu władzę. Obaj przy wypowiadaniu wojny mieli głos przeważny.

Pomimo wysokiej moralności kapłanów meksykańskich i dość daleko posuniętej cywilizacyi ludu w ogólności, znajdujemy tam krwawe i potworne ludożerstwo, szczerze przez nieograniczoną moc mordowania i oparte na pobożności, która człowieka stawia niżej zwierza najdrapieżniejszego. Zastanawiając się nad tem zjawiskiem Lippert mówi: „To rzecz kultu!—mógł powiedzieć łagodny i szlachetny Montezuma, ostatni niezależny król meksykański. Kult sam w sobie jest konserwatywnym i innym być nie może. Runęła świątynia, skąd daleko po nad wesołą i kwitnącą krainą rozchodziły się strach i groza— i znów po roku 1524 (zawojowania Meksyku) bywały dni, w których nieopodal od miejsc tych zarzynano tysiące kacerzy, wprawdzie nie na ofiarę bogowi „huicilopochtli,“ ale po pełnych mąk badaniach i katuszach, jakich nie doznawały ofiary bałwochwalcze. „To rzecz kultu!“—mogli powiedzieć dominikanie inkwizycyi. W każdym razie—ciągnie Lippert dalej—uczciwszym i lepszym był ów kanibalizm starożytny. Stary, wierny bóg, który rządził państwem i szczęście mu zapewniał, żądał za to krwi ludzkiej. Meksykańczyk sumiennie się wypłacał z tej ciężkiej daniny. U nagich niewolników z pośród podległych

---

szalony klekot, pisk, skrzyp i łoskot parowej maszyny, zmieszany z ogłuszającym szumem wody i krzykiem robotników. A w oddali na wierzchach gór rozlega się tu i owdzie odgłos toporów i trzask spadających olbrzymich świerków.

— Hura! — krzyczą rębacze przy każdorazowym upadku jednego z tych leśnych olbrzymów, a potem znowu zaczyna się ciosanie: olbrzyma ogałacają z gałęzi i po utartej kolei spuszczają w dół na rzekę, która go poniesie prosto przed tartak. Codziennie ze wszystkich wierzchów gór brzmi ta wrzawa rębaczów, codzienie setki potężnych pni z chrzęstem zsuwają się po nagich, żwirowatych urwiskach górskich w dolinę, ażeby tam na wodzie czekać, aż z kolei dostaną się pod niezmordowane, żelazne zęby pił parowej maszyny. I co dnia 14 składowych pił, niby 14 wielkich robaków, toczy kości leśnych olbrzymów.

Między rębaczami pracuje i nasz Mykoła. Rok już upłynął mu na ciężkiej pracy w fabryce. Biedak wygląda dzisiaj jeszcze nędzniejszym i chudszym, ale rąbie zawzięcie, jak gdyby tepnie świerkowe były jego śmiertelnymi wrogami.

— Wszak to dzisiaj ostatni raz rąbię — Boże mój... ostatni raz!... — powtarza sobie w myśli, podnosząc z rozmachem siekierę.

Dzisiaj on szczęśliwy. Ma owinięte w chustce 50 złr., zapracowanych w ciągu roku. Czterdzieści — rachuje Mykoła — będzie dla żyda, a dziesięć na początek gospodarstwa. Wieczorem skończy się jego robota, a jutro pójdzie do domu.

I w rzeczy samej nazajutrz, jeszcze poranna zorza nie ukazała się była na niebie, kiedy nasz Mykoła był już daleko od Ludwikówki, w drodze do rodzinnej wioski. Szedł prędko zadyszany, a po głowie błądziła mu myśl o przyszłości, nie zatrzymując się ani razu na minionych chwilach życia, gdzie spotkałby się tylko z niedolą i niedostatkiem.

— Najprzód pójdę do żyda — myślał biedny wieśniak, wykupię pole i chatę, a potem już do kobiety... Człek znowu będzie u siebie.

Myśl ta dodawała siły osłabionym nogom. Słońce zachodziło właśnie, kiedy się zbliżał do rodzinnej wioski. Serce zabiło mu w piersiach na widok dawnej, do połowy rozwalonej chatki i obszernej karczmy, stojącej na skraju sioła. Dobywając ostatka sił, pospieszył do tej ostatniej.

— Dobry wieczór Mordko! — zawołał, wchodząc do izby karczemnej.

— Dobre zdrowie! A. to wy Mykoło? — odpowiedział arendarz. Gdzieżeście bywali, że was tak długo nie było widać we wsi.

— Byłem na robocie — odrzekł Mykoła. Słuchaj Mordko, mam ci coś powiedzieć.

— Ny, co takiego?

Wydobył ze skórzanego pasa szmatkę, rozwinął i położył przed żydem cztery dziesiątki.

— Masz, widzisz — oddaj mi grunt i chatę.

— Co, co, co? — krzyknął żyd, cofając się o parę kroków. Ty chcesz za 40 reńskich kupić grunt i chatę? Cha, cha, cha!

— Nie kupić, ale swoje odebrać!

— Odebrać? A to jakiem prawem?

— Oddaję ci, com winien, a ty mi oddaj gospodarstwo.

— Owa! Ty Mykoło, jak się patrzy, nabrałeś gdzieś wielkiego rozumu. U nas nie tak idzie! Mnie za ten grunt dają trzysta reńskich. Ja chcę czterysta, ale tobie oddam go za dwieście pięćdziesiąt. Rozumiesz?

Mykoła na te słowa stanął jak osłupiały. Żyd widocznie zląkł się, bo uciekł do alkierza, zamknąwszy drzwi za sobą. W karczmie znajdowało się kilku znajomych wieśniaków, którzy, obstąpiwszy Mykołę, zaczęli witać się z nim i pocieszać; ale biedny człowiek ciągle stał jeszcze nieruchomo z wzrokiem wlepionym w miejsce, gdzie przed chwilą stał arendarz. Długo, długo pozostał tak nieporuszony, aż w końcu zwrócił się do obecnych.

— Ludzie dobrzy, czy może to być? — zapytał głuchym, drżącym głosem.

— A cóż, kumie, zrobicie żydowi, kiedy wszystko w jego rękach — odrzekł na to jeden ze znajomych.

— I prawa niema na to żadnego?

— Niema.

sobie ludow, nie zerkał za pieniędzmi, ani innemi dobrami ziemskiemi, nie rzucał im przestępstw na barki—bez winy ulegali swojemu losowi. W mniemaniu ofiarującego ten, którego poświęcał bogom, nie szedł do piekieł na wieczne potępienie, lecz z poselstwem zaszczytnem wyprawiany był przed tron istoty najwyższej."

Co do liczby ludzi, poświęcanych na ofiarę, kronikarze podają ją na 20,000 do 50,000 rocznie. Mięso tych ludzi meksykanie zjadali, uważając je za skuteczne we wszystkich cierpieniach. Że wszakże to spożywanie „ciała boskiego" (ofiarom bowiem ludzkim przed zabiciem ich jeszcze oddawano cześć boską, uważano je za bożków samych) mogło się stać udziałem niewielkiej garstki wybranych—przeto kapłani wpadli na pomysł wypiekania figurek bożych z ziół rozmaitych i korzeni zmięszanych z krwią dziecięcą i rozdawania ich ludowi w czasie uroczystości. Kończąc wykład o Meksyku starożytnym, Lippert w kilku słowach daje porównanie czasów dawnych z nowszymi. „Zamilkła wyrocznia bogów pogańskich, ale w razach niebezpiecznych oblicze Madonny, jak się wyraża jeden z kronikarzy, poczęło rozświecać umysł Korteza. Odtąd już żaden bożek z insigniami wojennemi zwycięskich hufców nie prowadził do boju, lecz za to po nad głowami hiszpanów często święty Jakób walczył w powietrzu. Już arcykapłan nie nadawał królowi jego godności, ale za to z wysokości rzymskiej stolicy Piotrowej Kortez ustanowiony został namiestnikiem nowej Hiszpanii. Spadł z ludu ciężar utrzymywania kosztownego kultu pogańskiego, a z nim nieprzejrzanego mnóstwa kapłanów, ale za to dopuszczonym został do dobrodziejstwa składania dziesięciny kościelnej. Widać jednak, że i to dobrodziejstwo nawet musiało być trochę uciążliwem, ponieważ Kortez zdecydował się wyprawić poselstwo do królewskiego arcykapłana w Rzymie z prośbą o pewne ulgi w tym względzie. Poselstwo to wiozło ze sobą bogato podarunki i akrobatów indyjskich. Przyjęcie było nader łaskawe, skoczkowie powietrzni bardzo się podobali, podziwiano walki, zwycięstwa i nawrócenia, ale o ulgach w dziesięcinie nawet słyszeć nie chciał Ojciec Święty." (D. c. n.).

Ad. J. Cohn.

Tęcza po burzy.

Kraków, 19 kwietnia.

Posiedzenie komitetu pomnika Mickiewicza, zapowiedziane na dzień 16 b. m. oczekiwane było niemal gorączkowo. Rozstrzygnąć się miała sprawa zaogniona, podniesiona do rozmiarów nieprzewidzianych—sprawa niemal gabinetowa całego komitetu, jako ciała, które z pośród siebie wyłoniło *jury*. Na ustach wszystkich zawisło pytanie: jak postąpi sobie komitet? Czy wobec protestów, poważnych imionami i liczbą, wobec zawiedzionych w nadziei pracowników dłuta, czy wobec powszechnego a sprawiedliwego rozdrażnienia, zaprze się swego dziecka, wydając je na pastwę śmieszności i słusznych upokorzeń—czy też potwierdzi wyrok sędziów, a w ten sposób boleśnie da poznać ogółowi, że protest—to motyka, a *jury*—słońce bez plamy? Bądź co bądź, spodziewać się należało najgorszych następstw; albo rozdwojenia samego komitetu, albo gwałtownych wyrazów powszechnego oburzenia. *Aut Charybdis, aut Scilla.*

Ale od czego dowcipny marszałek Zyblikiewicz! Wyratował on z kłopotu całą radę pomnikową, olśniwszy zarówno nieprzyjaciół, jak i wielbicieli *jury*, nazwiskiem Matejki. Wykonanie tego znakomitego pomysłu odbyło się przyzwoicie i z powodzeniem. Po przyjęciu projektu marszałka, kółko poufne porozumiało się z mistrzem. Pozornie zdawać by się mogło, że Matejko, dwukrotnie pominięty milczeniem przez poprzednie sądy konkursowe, nie zechce po raz trzeci imać się sprawy, w której spotykał same niepowodzenia. Uległość jego wszakże nie zadziwi nikogo, kto wie, jaki wpływ wywiera na Matejkę kilku możnych mecenasów sztuki—rządzących w Krakowie magnatów—którzy otaczają go nieustannym dymem kadzideł pochlebstwa i przesadnych uwielbień. Mistrz więc zgodził się i wyrysował nowy szkic pomnika. Na godzinę czwartą 15 kwietnia hr. Artur Potocki sprosił do siebie „pod Barany" wszystkich miejscowych członków komitetu, z których wielu też przybyło; tam zgodzono się na popieranie projektu, którego twórca był obecny i udzielał żądanych objaśnień. Trudno było protestować w tych warunkach, gdzie względy poważania dla mistrza i grzeczności dla gospodarza krępować musiały swobodę słowa. Pełne posiedzenie komitetu, urządzone nazajutrz po tem zebraniu, załatwiło sprawę tak, jak ją naprzód przygotowano. O konkursie i o *jury* wcale mowy nie było, uchwalono tylko uznanie dla sędziów znaczną większością głosów (wbrew opinii przedstawicieli prasy warszawskiej) a nad listami nadesłanymi w sprawie protestu przeszło zgromadzenie do porządku dziennego, skoro panu Ożogowi, byłemu prezesowi Czyt. Akad. wyjaśnił radca miejski mecenas Jakubowski, że „kto ciekawy, może sobie sam przeczytać." Role były rozdane, a wiadomo, jak wiele w każdem parlamentarnem ciele dokonać może kilku ludzi, którzy porozumią się poprzednio, rzecz umówioną rozwijają swobodnie i dokładnie, podczas gdy przeciwnicy rozstrzeleni, zaskoczeni niespodzianką—na schodach dopiero zazwyczaj wpadają na myśl, że dali się wyprowadzić w pole. Według opowiadania jednego z niewtajemniczonych członków komitetu, każde słowo przeciwne umówionym planom przyjmowane było grobowem milczeniem, które mogło zamrozić najgorętszy zapał i najgłębszą wiarę. Bez wrażenia też przebrzmiały pojedyncze głosy, jak hr. Lanckorońskiego, który ostro oceniał romantyczny nieład projektu Matejki, jak Popiela, domagającego się konkursu na tle tego projektu — jak nareszcie akademika Jendla, przypominającego komitetowi, iż trudno niefachowym ludziom w przeciągu kilku minut ocenić i przyjąć pobieżny szkic rysunkowy, kiedy specyalni sędziowie, długo rozważając wartość projektów plastycznych, nie umieli wydać rzetelnego wyroku. Wynikiem posiedzenia było przyjęcie trzech zasadniczych wniosków hr. Artura Potockiego:

„Komitet nie przyjmuje żadnego z premiowanych projektów na pomnik A. Mickiewicza."

„Przyjmuje projekt Matejki za podstawę dalszego działania."

„Obmyślenie sposobu wykonania tego projektu porucza wybranej na to komisyi złożonej z osób sześciu pod przewodnictwem Matejki i pod zastrzeżeniem ratyfikacyi pełnego komitetu."

Wybrano odrazu komisyę, do której weszli: Marszałek dr. Zyblikiewicz, prezy-

---

— Ha! — westchnął Mykoła i zamilkł— tylko grube, piekące łzy stoczyły się po bladej, wynędzniałej, opylonej od kurzu twarzy.

— Moiście wy — przemówił po chwili, weźcie te pieniądze, proszę was, oddajcie je żonie. Mnie ich nie trzeba. Pozdrówcie ją odemnie i powiedzcie, że niedługo wrócę. A o tem co było z żydem — ani słowa! Słyszycie, ani słowa!

— Dobrze kumie, dobrze.

— A teraz ostańcie zdrowi!

Po tych słowach nacisnął kapelusz na głowę i wyszedł spiesznie. Słońce złocisto-krwawem światłem oblało zachód. Purpurową smugą błyszczała Świca, wijąc się pomiędzy borami wśród, ciemno-zielonej równiny. Szumiała woda po kamieniach, świergotały wróble w wiklinie, a w sercu biednego Mykoły kłębiła się rozpacz.

IV.

W tym samym czasie, kiedy odbywała się powyższa scena, w Ludwikówce opowiadali sobie ludzie o strasznym wypadku, który się zdarzył przed kilku dniami. Wjednej karczemce, stojącej samotnie na polu w pobliżu Doliny, wyrznięto w nocy całą rodzinę żydowską. Jeden tylko chłopczyna cudem prawie ocalał, ukrywszy się na piecu; od niego to dowiedziano się bliższych szczegółów o okropnem morderstwie. Ludzi, którzy popełnili tę zbrodnię, chłopczyna nie znał, nie rozumiał nawet ich mowy. Podejrzenie padło na dwóch włochów, robotników w Ludwikowieckiej fabryce, których też zaraz uwięziono. Włosi ci pracowali „na spuście."

Była to niebezpieczna praca: jeden z lesistych szczytów leżał w zbytniem oddaleniu od rzeki, tak, że nie można było spuszczać wprost zrąbanych pni na wodę, zwłaszcza, że górę otaczały dokoła nieprzystępne doły, zarzucone olbrzymimi odłamami skał. Świerki tymczasem, które obrosły wierzch góry, należały do najpiękniejszych. Dyrektor tartaku długo przemyśliwał nad tem, w jaki sposób możnaby się było dobrać do nietkniętego lasu, wreszcie wpadł na śmiały pomysł. W połowie wysokości wzgórza wypływało z pod skały niewielkie źródło, spadające w dół strumieniem, który w dalszym swym biegu gubił się między skałami, a potem znowu wypływał i wpadał spokojnie do Świcy. Od tego źródła dyrektor kazał zbudować spust, łączący się wprost z podwórzem fabryki. Był to po prostu wązki przewód wodny, zbudowany z grubych świerkowych tarcic w kształcie długiego koryta i pociągnięty w prostej jak struna linii od fabryki ponad straszliwą, skałami najeżoną przepaścią aż do samego serca przeciwległej góry. Z dna przepaści przewód wodny podobny był do grubej liny, a kobylice, na których się opierał, wyglądały jak długie, wiotkie żerdzie, które za najmniejszem trąceniem zakołyszą się i padną.

Tem to drewnianem korytem spływała woda ze źródliska, ułatwiając spuszczanie zrąbanych pni świerkowych. Tylko że ilość wody za małą była, ażeby porwać ze sobą olbrzymie kloce odarte z kory dla łatwiejszego ślizgania wzdłuż koryta. Musiało zatem bez przerwy dwóch robotników ciągnąć te kloce w dół do tartaku. Spuszczanie odbywało się w ten sposób, że robotnik wrąbawszy silnie siekierę chwytał oburącz za toporzysko i stąpając po skraju, całem ciałem zwieszony ponad straszliwą przepaścią, wlókł za sobą kloc po ślizgiem dnie koryta. Była to powolna, a niebezpieczna praca; na wypadek bowiem, gdyby siekiera wyskoczyła z kloca, albo ręce robotnikaześliznęły się po toporzysku, nieszczęśliwego czekała nieochybna śmierć na dnie strasznej przepaści. Dlatego też miejscowi robotnicy w żaden sposób nie chcieli iść „na spust," chociaż dyrektor dawał dwa reńskie dziennie. Tylko wspomniani dwaj włosi podjęli się byli tej pracy; jakoż istotnie wiodło im się szczęśliwie przez całe trzy miesiące. Ale miejscowi ludzie nie mieli nawet odwagi patrzeć na tych ludzi, jak wychyleni w tył nad przepaścią, wlekli olbrzymie kloce.

Wprawdzie wzdłuż koryta ułożone były deski, żeby wygodniej można było stąpać, atoli wrazie upadku, deski nie były wstanie utrzymać spadającego robotnika.

dent miasta dr. Szlachtowski, hr. Artur Potocki, Pryliński, prof. dr. Maryan Sokołowski, hr. Konst. Przeździecki.

Mimo powodzenia całej sprawy nie brakło w niej ustępów, obniżających silnie artyzm zręcznego i śmiałego manewru; nagła zmiana zapatrywań musiała spowodować szereg scen iście komicznych w zachowaniu się członków, wiedzących o zamachu na konkurs. Tak np. przed paru tygodniami, w czasie uczty wydanej dla zagranicznych sędziów, prezydent dr. Szlachtowski dziękował *jury* za szczęśliwy wybór projektu na pomnik—w ubiegły czwartek tenże sam prezydent z za tego samego stołu, pijąc zdrowie Matejki, z żałobą w sercu, bolał nad nędznym wynikiem konkursu!...

Ostatecznie, usuwając na bok pobudki, które skłoniły członków do oddania sprawy w ręce Matejki, faktem dokonanym jest, że mistrz ma stworzyć siłą malarskiego gieniuszu pomnik dla największego naszego wieszcza. Imię jego sprawiło urok magiczny. Ogół w dobrej wierze przyjął wiadomość, cieszy się nią i spodziewa się jak najlepszych owoców.

Czy więc sprawa rzeczywiście weszła na tory, wiodące wprost do szybkiego i szczęśliwego rozwiązania? Odpowiedź wymaga rozwagi. Oto dokładny, z pewnością nie ujemny, bo z *Czasu*, organu hr. A. Potockiego wyjęty opis projektu Matejki: „Mickiewicz *) siedzi na druidycznym, kamiennym tronie. Postawa, głowa i draperya podobna do tej, którą publiczność zna z ostatniego szkicu mistrza. Jako godła ma przy sobie kotwicę (nadzieję) i sowę (mądrość). U stóp jego klęczy skrzydlaty gieniusz **). Jedną ręką wskazuje wieszcza, drugą zdejmuje pęta z wielkiego orła, siedzącego na stopniach i roztaczającego szeroko skrzydła. Po stronie przeciwnej, o stopień wyżej od gieniusza, w głąb cofnięta postać kobiety, trzymającej zapaloną lampę. Allegorya przyszłości. Przejęta natchnieniem wieszcza patrzy i słucha...“ „Zupełnie na spodzie poniżej stopni dwie figury: Niemna i Wilii, których wykonanie nie byłoby koniecznem, gdyby trudności okazały się zbyt wielkiemi.“

Projekt ten zawiera w sobie wszystko, na co się słusznie oburzano przy pierwszym konkursie: ma siedzącą postać główną, ma nagie alegoryczne postacie dodatkowe, będzie miał wodę u spodu itp. Mistrz pieśni będzie traktowany w ten sposób, w jaki Fidiasz przedstawiał bogów helleńskich, a w jego naśladownictwie Thorwaldsen dał nam posągi Włodzimierza Potockiego i ks. Józefa Poniatowskiego. Takim jest ów projekt gienialny, jak się go ludziom nazwać podobało, a w rzeczy samej utwór sztucznie skomponowany, niejasny, potrzebujący koniecznie komentarza. To też komitet na zebranie poufne musiał zaprosić artystę, aby on sam rzecz wytłomaczył. Gdzież tam widać zachwaloną stronę narodową pomysłu, kto pozna, że mąż obnażony, rozparty na krześle jest Mickiewiczem? Pojąć można pomysł allegoryczny, ale sam w sobie; umieszczenie zaś obok postaci indywidualnych postaci innych allegorycznych jest pokrzywdzeniem jednych lub drugich—gieniusz będzie gołym chłopakiem lub Mickiewicz allegoryą—mytem...

Pysznie rzucony szkic rysunkowy przez malarza tej miary, co Matejko — z postaciami gorączkowemi, w ruchach chwilowych — charakter pomysłu, który jest niby chwilą gwałtownych uniesień — to wszystko mogło zyskać opinię członków komitetu, ale znawców nigdy odurzyć nie powinno. Słusznie też hr. Lanckoroński, smakosz artystyczny pierwszej miary, przemawiał w obronie warunków rzeźby, pragnąc, aby je posiadał pomnik, który niema być chwilowych bólów nerwowym obrazem, lecz winien zachować spokój nieśmiertelnego piękna rzeźby.

To, co stanowi istotną cechę twórczości Matejki, jest tak wprost przeciwne naturze rzeźby, iż mimo całej wiary w jego wielkość artystyczną, wątpić trzeba, czy próba się uda; groźby Lessyngowskiego Laokoona mimo woli i wiedzy na myśl przychodzą. Postacie Matejkowych obrazów historycznych nie dałyby się tłomaczyć w rzeźbie, która wymaga czegoś szerszego w stylu, czegoś spokojniejszego w liniach a przynajmniej duchowo spokojniejszego, nie tak rozerwanego, niepewnego, ruchliwego... Prostota i spokój, stylowość szlachetna, antyczna — że tego wyrazu użyję — nie leży w usposobieniu mistrza, niezrównanego w historycznych, pełnych chaosu i gwaru obrazach. Proste wczytanie się w życiorys Matejki poucza, iż jego rozwojowi obcym jest pierwiastkiem studyum rzeźby klasycznej a przecież pomnik dla Mickiewicza bez tego pierwiastku doskonałym nie będzie; rachować zaś, że nada mu go wykonawca-rzeźbiarz, jest to myśleć o zatraceniu tego, co stanowi siłę i wartość Matejki. Możemy wreszcie mieć pomnik przeprowadzony w duchu malarskim, który zadowoli nasze pokolenie, kierujące się przedewszystkiem zmysłem malarskim, gdy idzie o sąd w sztuce — ale czy przyszłość zrozumie arcydzieło w smaku naszego stulecia wykonane? Wątpić należy...

Uspakajał jeden z przywódców zamachu, że szkic brać trzeba jedynie jako ogólną podstawę pomysłu, że zmieni się ona jeszcze nieraz; obrona ta dowodzi gorączki, z jaką się wzięto do sprawy, mówi, iż rysunek mistrza nie jest owocem rozwagi, ale na prędce zrobiony. Byłoż więc sprawiedliwem, nie mając właściwie projektu, głosić go genialnym i budować na nim nadzieję? Możemy być pewni, że projekt Matejki zmieni się jeszcze bardzo; ale niema co liczyć na to, by mistrz dał się powodować czyjej bądź opinii a w skład komitetu dodanego mu wchodzą nadto ludzie, nieobeznani z warunkami stawiania posągów. Czy będzie konkurs dla rzeźbiarzy, czy mistrz sam dobierze sobie wykonawcę ślepego i pełnego zaparcia — o tem nikt prócz Matejki rozstrzygać nie będzie. Sprzeciwiać się mu zaś — jestto stworzyć nową fazę w rozwlekłych dziejach pomnika — fazę tem niebezpieczniejszą, że już drugiego Matejki nie mamy, że wrócić się będzie trzeba do punktu, z którego się wyszło przed laty.

Takie są bezstronne przypuszczenia i wnioski. Czy jednak mistrz sam się nie spostrzeże i siłą ducha nie zmieni natury swych pojęć malarskich, by w przeciwieństwie do nich pokierować dziełem swej myśli w rzeźbie, patrząc na wzory starożytne, tego nikt przewidzieć nie może, ale i nikt niema prawa wprost przeczyć. Może jego gieniusz znajdzie zadziwiające prostotą zakończenie sprawy, nad której rozwiązaniem od lat trudzą się głowy uczonych — i prostaczków.

M.

*) Nagi, okryty draperyą, z wieńcem na skroniach...
**) Naguteńki...

Kiedy zatem Mykoła wrócił był do Ludwikówki, miejsce po dwóch włochach było opróżnione.

— Panie dyrektorze — rzekł Mykoła wchodząc do fabrycznej kancelaryi, wróciłem znowu do tartaku i proszę o robotę.

— O robotę? — mruknął dyrektor. Aha, dobrze. Właśnie przy spuście potrzebuję ludzi, chcesz?

— Przy spuście? — wyjąkał Mykoła.

— Ja ci dobrze zapłacę, dwa reńskie dziennie.

Mykoła namyślał się, mróz przeszedł go po kościach. Ale wyboru nie było. Zresztą, na cóż się miał teraz oglądać?..

— Dobrze panie dyrektorze — odpowiedział, pójdę na spust, dziej się boża wola!

— Co, pójdziesz? — zapytał dyrektor i spojrzał na niego ze zdziwieniem, jakby przestraszony zuchwałym krokiem chłopa.

— Tak, pójdę!

Na drugi dzień rano koło spustu zgromadził się tłum robotników i nadzorców fabrycznych. Chcieli zobaczyć, jak powiedzie się Mykole w tej karkołomnej pracy.

Mykoła był już w lesie. Dochodziły stamtąd krzyki i wołania robotników, odgłos siekier i chrzest upadających świerków. Zwalono właśnie potężny kloc w koryto. Białe, odarte z kory drzewo smolne błyszczało w słońcu. Ale otóż i Mykoła. Przeżegnał się, pochwycił oburącz ogromną siekierę z długiem, mocnem toporzyskiem i rozmachnąwszy nią nad głową wbił ostrze w grubszy koniec kloca.

— Ano w imię Boże! dalej!..

Ujął toporzysko, nachylił się przewieszony nad przepaścią i przy pomocy innych robotników poruszył pień z miejsca.

— Powoli, powoli! — krzyczano z dołu.

Kloc sunął się dosyć lekko po dnie przewozu. Mykoła stąpał bezpiecznie po desce. Zbliżył się właśnie do miejsca, gdzie pod nogami rozwarła swą paszczę straszliwa przepaść. Bojaźliwsi odwracali oczy, nie mogąc znieść widoku tego człowieka, przechodzącego jak po nitce między życiem a śmiercią.

— Boże ratuj go! — szeptali robotnicy.

— Ciekawym też, czy przejdzie? — mruknął dyrektor.

Mykoła tymczasem postępował w dół, utkwiwszy wzrok swój w kloc świerkowy i błyszczącą siekierę, która niby ogromny ząb wściekłego zwierza wpiła się była w białe, świecące ciało kloca. Oprócz siekiery i kloca nie widział nic więcej przed sobą. Nie czuł nawet strachu. Zdawało mu się tylko, że siłą wzroku trzyma się pnia, że odwróciwszy odeń oczy, znajdzie śmierć nagłą na dnie wąwozu.

Lecz cóż to?... Czy ręka zadrżała mu ze strachu? Czy siekiera poruszyła się w klocu? Mykołę ścisnęło coś za serce. Czuł, że siekiera za słabo wbita i lada chwila wysunie się z drzewa. Chciał się zatrzymać i poprawić ją, ale jakaś nieprzeparta siła ciągnęła go w dół. Spojrzał w przepaść i w tej chwili dostał zawrotu głowy, pociemniało mu w oczach, a z ust wyrwało się mimowoli jedyne, ostatnie słowo:

— Boże!

Krótki, przerażający krzyk trwogi, dobyty z piersi zgromadzonych przeszył w tej chwili powietrze. Mykoła z szybkością błyskawicy runął w przepaść. Zaraz na pierwszym ostrym odłamie głowa jego rozprysła się w kawały jak rozbity arbuz.

— Boże! — jęknęli robotnicy i popędzili w dolinę, chociaż każdy wiedział, że dla biednego Mykoły niema już ratunku.

Pochowano go nad Świcą u stóp wysokiej góry. Zielony mchem i pięknem kwieciem obrosły pagórek, oblany z dwóch stron rzeką, sterczący nad nią wysoko, mieści w sobie jego ciało. Świca pieni się i szumi jakby w bezsilnej złości nad wydartą jej falom ofiarą. Dokoła patrzą w zadumie wysokie góry na niewielką mogiłkę po jednej, a ogromną fabrykę z czerwonym kominem po drugiej stronie.

W leszczynie kuka kukułka, jakby pytała: „Kto tu? Kto tu?“ a czyżyk na wysokim badylu przeciągle wywodzi: „nieszczęśli-i-wy! nieszczęśli-i-wy!“ Tylko nadąsana, krasa sójka na samotnym świerku przedrzeźnia się: „Sam sobie winien... Ehe, ehe!...“

Myron.

Z FRANCYI.

Paryż, 20 kwietnia.

Polityczne *prima aprilis.* — Jak francuzi wywracają gabinety. — Nowe jakobińsko-massońskie ministeryum. — Autonomiczny radykalizm i „naturalizm państwowy.“ — Projekt katedry socyologii. — Wstępny wykład p. Léger na nowoobsadzonej katedrze języków i literatur słowiańskich w *Collège de France.* — Słuchacze tego zakładu i Sorbony. — Czem jest uniwersytet francuski?? — Usiłowania reformatorskie. — Tradycye jezuickie i szkoły ultramontańskie.

Paryżanie mieli w tym roku prawdziwy *prima aprilis.* W wigilię tej fatalnej daty wywrócono gabinet, w chwili, gdy zdawało się, że byt jego, po dwuletniem panowaniu, zapewniony jest na długie czasy—mimo że w przeddzień tej wigilii p. Ferry otrzymał od Izby najformalniejsze votum zaufania... Było to w sobotę—w niedzielę jednak przyszedł najniespodziewaniej telegram głównodowodzącego z Tonkinu, i ministeryum wyleciało nazajutrz jak z procy. Ale bo też w strachu był generał, który go wysyłał! Stało tam, że francuzi cofają się w nieładzie, i maluczko, a oprą się o morze, że jeden z generałów śmiertelnie ranny a chińczycy walą dwoma wielkimi szlakami, jak niezpoliczona ćma szarańczy... Okazało się potem, że strach ma wielkie oczy, że francuscy generałowie równie dobrze są dziś poinformowani o siłach nieprzyjacielskich w Tonkinie, jak w roku 1870, że to tylko trwoga parła ich do odwrotu... Nie omieszkano też, pośród deklamacyi o bohaterskiej armii, wysłać nowego generała i zamiast krzyżów wyekspedyowano nosy panom oficerom; nim się to jednak stało, Francya zapewniana przez gabinet, że wszystko idzie jaknajlepiej w Tonkinie, zwaliła nań całą odpowiedzialność i kazała mu się podać do dymisyi. *Peuple souverain* w takich razach nie żartuje! Trzeba było widzieć Paryż w ową niedzielę, gdy przyszedł telegram z Tonkinu. Kipiało i gotowało się jak w przeddzień rewolucyi, a Ferry opuszczony został przez najukochańszych swych oportunistów, który równie jak on sam ulękli się nie żartem ludowego gniewu...

Jak tam jednak było—to było, a mamy obecnie gabinet, złożony z najwybitniejszych członków radykalnej lewicy; powiadają nawet, że są to jakobini, którzy pragnęliby wznowić czasy Konwentu! Jeżeli jednak pp. Brisson i Freycinet są potomkami Robespiera, to przyznać należy, że jest to wcale potulne potomstwo. Wszelka choroba, jak wiadomo, gdy się zaaklimatyzuje, traci na swej ostrości i przestaje być groźną. We Francyi też przydomki podobne, jak: *jacobin, revolutionaire, socialiste* etc. nie są bynajmniej tem, za co by je można brać zdaleka. Ultramontański *Univers* odgrzebał znowu w jakimś wolnomularskim piśmie, że cały gabinet obecny wraz z prezydentem Izby panem Floquet, złożony jest z samych *braci* (F.·.) massonów... (jakby się to przeraził nasz *Przegląd katolicki*); ten jednak gatunek nigdy zbyt srogi nie był, obecnie zaś stał się już całkiem niewinny.

Gabinet zaczął istotnie z wielkiem umiarkowaniem i taktem. Przyszedłszy do władzy dzięki wypadkowi, irytacyi i nieporozumieniom, nie posiadając w Izbie większości swej barwy, oznajmił skromnie przez usta swego prezydenta, że rolę swą ograniczy do załatwienia w jakikolwiekbądź sposób zatargu z Chinami i przeprowadzeniu nowych wyborów do Izby poselskiej, przypadających w końcu bieżącego lata. Dotąd wiedzie się nieźle panu Brissonowi. Pokój z Chinami prawie już podpisany, a nowe wybory, odbyć się mające według nowego systemu przez głosowanie departamentami, mogą dać Francyi szczerze republikańską większość, która przystąpi do reform na szerszą skalę. Gabinet zapewnił Izby, że czuwać będzie nad tem pilnie, ażeby wybory odbyły się z całą swobodą i zdala od ministeryalnego nacisku. Zobaczymy.

Od wielkiej polityki możemy przejść do małej. Paryska rada miejska jest, jak wiadomo, siedliskiem „autonomicznego radykalizmu“—jest tu i taki—a także—bezwyznaniowości, o *horror!* Ciasno jednak temu radykalizmowi w murach Hôtel de Ville. Prezydent rady nie jest bynajmniej prezydentem miasta, posiedzenia muszą się odbywać przy drzwiach zamkniętych... Nie myślimy jednak opowiadać szeroko o tym kierunku, którego najwybitniejszym przedstawicielem jest p. Zygmunt Lacroix (Krzyżanowski)—ani nawet o wielkim balu w Ratuszu, który się odbył niedawno i przyniósł 100,000 fr. biednym Paryża, a drugie tyle rannym w Tonkinie. Chcemy tylko powiedzieć, że w paryskiej radzie miejskiej zrodził się świeżo nowy kierunek sztuki, który nazwano „naturalizmem państwowym.“ Jeden z radnych p. Vaillant (blanquista), z powodu zamierzonych różnych ozdób gmachów publicznych, wystąpił z wnioskiem: „Zważywszy, że rzeczywistość jest jedynem źródłem poezyi i sztuki; że czasy mistycyzmu i alegoryzmu skończyły się; że jedyną rzeczywistością, którą artysta może wyrazić, jest ta, którą widział, odczuł i pojął, t. j. rzeczywistość współczesna—żądamy, ażeby ozdoby pędzla i dłuta oraz umeblowania gmachów publicznych nie były odtworzeniem przeszłości, lecz wyrazem sztuki i pracy współczesnej, ucieleśnieniem idej nowych...“ Wniosek tym razem jeszcze nie przeszedł, niesłusznie jednak mojem zdaniem wywołał protesty w prasie, w której pomawiano go o krępowanie artystycznej swobody wyboru. Jeżeli p. Rotszyld ozdabiając i meblując swój „hotel“ może wybrać ten rodzaj sztuki, jaki mu się podoba, nie pojmuję, dlaczegoby podobnego prawa nie miała rada miejska?

O naturalizmie jednak w państwie nie pierwszy mówił p. Vaillant. Przed kilku już laty twierdził Zola, że „Republika będzie naturalistyczną lub jej nie będzie.“ I kto wie, czyby nie było dobrze, żeby więcej owego współczesnego naturalizmu przeniknęło w stosunki państwowe, w których panuje jeszcze na dobre duch klasycyzmu i romantyzmu...

To zapewne miał na myśli p. Wiktor Considerant, jeden z weteranów fourieryzmu, gdy, obok krytyki Fouriera, rozpisał się obszernie w *Revue de mouvement social* o potrzebie utworzenia w Sorbonie katedry socyologii. Utrzymuje on, że w naszem nauczaniu zbyt wiele miejsca wydzielamy historyi, ze szkodą wymagań chwili obecnej. Historya ma być niby mistrzynią życia publicznego, w życiu tem jednak nic się nie powtarza, a znajomość dziejów nie przeszkadza nam robić nowych błędów, lub raczej pomaga powtarzać stare...

Kiedy już mowa o katedrze, to spieszę zakomunikować wam ważną i bliską nas obchodzącą nowinę. Na opróżnioną od dwóch lat blisko po p. Chodźce katedrę języków i literatur słowiańskich w Collège de France powołany został, jako pierwszy tytularny profesor na tej mównicy, p. Ludwik Léger. Od lat 20 ogłosił on wiele prac o Słowiańszczyźnie. Jest to przytem jedyny uczony francuski, który zna wszystkie prawie języki słowiańskie i który zwiedził osobiście całą słowiańszczyznę. Wstępna lekcya odbyła się 15 b. m. przy licznym udziale francuzów i przedstawicieli różnych narodowości słowiańskich. Nie będę wam przytaczał jej treści, odczyt bowiem wyszedł już z druku w ostatnim zeszycie *Revue politique et littéraire* a ukaże się zapewne w przekładach.

Powiem wam jednak słów kilka o publiczności, gromadzącej się na wykładach w Collège de France i Sorbonie. Ciekawa to publiczność! Rekrutuje się ona z podżyłych niewiast, które między jednem nabożeństwem a drugiem nie wiedzą co robić, z osiwiałych biedaków umysłowego proletaryatu, którzy chronią się przed zimnem do bibliotek publicznych i audytoryów i tam nabierają gustu do czytania i profesorskich wykładów — co im przecież nie przeszkadza przedrzemać się od czasu do czasu. Niektóre wykłady cieszą się protekcyą „pięknego świata.“ Przybywają na nie eleganckie damy, uważające, że należy do dobrego tonu słuchać głośniejszych kazań po kościołach, uczęszczać na konferencye księdza Hyacynta przy bulwarze Kapucynów lub na wykłady filozofii prof. Cara w Sorbonie... Wstęp dla wszystkich jest wolny na te odczyty. Młodzieży na nich mało a stałych słuchaczów zaledwie na lekarstwo...

Ostatnimi zresztą czasy Francya krząta się żywo nad zreformowaniem swego uniwersyteckiego nauczania na wzór Niemiec i wiele już w tym kierunku zrobiono. Pobudkę dał Renan jeszcze w roku 1865 i reformatorska robota idzie nieprzerwanie lubo powoli. Po przerobieniu szkół ludowych i częściowem ulepszeniu gimnazyów, po zaprowadzeniu zakładów żeńskich (dotąd więcej na papierze), przychodzi kolej na uniwersytety, a raczej na jedyny *Université de France* z rozrzuconymi po całym kraju „fakultetami.“ Niezależnie od „szkół“ medycznych i prawniczych, istniejących oddzielnie, fakultety te odpowiadają filozoficznym wydziałom uniwersytetów niemieckich, daleko im jednak do zupełnego z nimi podobieństwa. „Uniwersytet francuski,“ wkluczający w swą organizacyę urzędową nietylko fakultety, lecz i szkoły średnie, zachował do dziś wyraźne cechy jezuickiego swego pochodzenia i piętno wieków średnich. Gimnazya są po większej części internatami, w których więcej się zwraca uwagi na karność, niż na nauczanie. Jak u nas za czasów jezuickich kwitnie tu jeszcze w gimnazyach retoryka, „filozofia,“ robią się wiersze łacińskie itp. Niema formalnych egzaminów i przejścia z klasy do klasy przez tak zwane „promocye,“ lecz pobudza się współzawodnictwo młodzieży różnymi konkursami, popisami, medalami itd. Po skończeniu gimnazyum uczeń nie zdaje żadnego egzaminu dojrzałości, a pragnący iść dalej w mandarynizmie naukowym muszą składać w „fakultetach“ egzamina na *bacalaureat'y, es sciences* i *es lettres*, które dają prawo wstępu do szkoły medycznej, prawnej itd. Do szkół specyalnych, jak centralna, dróg i mostów, politechniczna—trzeba się przygotowywać oddzielnie, według określonych programów. Nauczyciele fabrykują się osobno w takiej np. *Ecole normale* przy ulicy d'Ulm etc. O duchu, jaki w tej szkole panuje, mającej także swą „école normale,“ pisał Zola w swych *Tableaux critiques*: „Ach, *esprit normalien!* Ktokolwiek oddychał powietrzem tej szkoły, jest niem przesiąkły na całe życie. Mózg jego zachowuje mdły i zgniły zapach profesorski. Wychowańcy tego zakładu wnoszą ten odór i do literatury.“

Łatwo spostrzedz, jak ta szkolna organizacya francuska jest pogmatwaną i przestarzałą. Trzeba ją z gruntu przebudować, robią się jednak tylko poprawki. Do niedawna przytem jeszcze cały ten „Uniwersytet“ nie miał żadnej autonomii. Uczono według ściśle oznaczonych programów ministeryalnych, w których oznaczono, że taka a taka doktryna jest nie przyjętą przez państwo i wykładaną być nie powinna (było tak np. z darwinizmem). Dziś na porządku dziennym jest zniesienie bacalaureatów i zapewnienie fakultetom oraz instytucyom takim, jak Sorbona, College de France itd. stałych słuchaczów. Burzą się właśnie domy i ulice około obu tych gmachów, które mają być powiększone, rozszerzone, zaopatrzone w laboratorya i inne

spółczesne środki naukowe. Nowy minister oświaty p. Goblet, przemawiając świeżo na dorocznym kongresie towarzystw naukowych, zapewniał, że kredyty potrzebne ku temu są już uchwalone.

A propos tego kongresu — był to do niedawna zjazd urzędowy, na którym wyznaczano nagrody za konkursy przez rząd wyznaczane. Dziś kongresy to zaczynają większą okazywać samodzielność, aczkolwiek dotąd głównym ich zadaniem jest rozdawnictwo krzyżów legii honorowej i nagród...

Nic dziwnego, że z tą jezuicką organizacyą nauczania publicznego skutecznie współzawodniczy klerykalizm. Paweł Bert wykazał niedawno, że w szkołach elementarnych proboszcz jest dotąd panem wszechwładnym; jezuickie kolegia są podobno lepsze od świeckich, a w Paryżu, szczególniej w łacińskim kwartale, można widzieć całe długie wężownice wąsatych często wyrostków, przechadzających się parami pod nadzorem oficerów i sierżantów w sutannach. U nas jedyny zabytek takiego kolegialnego internatu pozostał, o ile wiem, tylko w Tarnopolu w Galicyi. Są przytem także we Francyi, również jak w Belgii „katolickie uniwersytety.“ Niech się nikt przeto nie dziwi, że klerykalizm w francuskiej Rzeczypospolitej jest siłą.

R.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Alfred Nossig: **Tragedya myśli**, poemat dramatyczny, Lwów, str. 105 w małej 8-ce.

Mamy do zapisania niezwykły u nas objaw. Oto grono młodych—niech będzie—pozytywistów lwowskich, mało znanych szerszej publiczności, ale wysoce zdolnych i czynnych, ujawnia swe przekonania wydaniem i nakładem na wskroś postępowego dramatu p. Nossiga, należącego właśnie do kółka. Występuje ono z otwartą przyłbicą przyznając się mniej więcej do zasad *Prawdy*. Myśl główna poematu Nossiga: *wolność badań i wiedzy od wszelkich więzów tradycyi, realne pojmowanie życia i jego zadań* jest ideałem naszym... P. Nossig, który myśl tę ubrał w dramatyczną sukienkę, stawia pierwsze na tem polu kroki, ale pomimo wad i usterek właściwych początkującemu autorowi widać w nim prawdziwy, niezwykły talent. Cechuje go obok podniosłości młodzieńca siła uczucia. Dramat jego czytamy z wielkiem zajęciem i świadczy on o głębokich studyach autora. Wyrażając się z całem uznaniem o tej świetnej próbie młodego poety, nie możemy zataić jej błędów. Jak sam tytuł po części wskazuje brak utworowi pierwiastków dramatycznych. Dramat pięcioaktowy nie ma prawie żadnej akcyi w którejby przynajmniej główny charakter mógł się rozwinąć. Osnową *Tragedyi* p. Nossiga: — prześladowanie Giordano Bruna przez kościół za jego wolnomyślne zasady, za które spłonął na stosie około 1600 r.—nie mogła być dramatycznie wyzyskana, po prostu dlatego, że uczony włoski musi zachować się biernie wobec swego przemożnego przeciwnika, bo chociaż trwa do końca nieugięty przy swoich zasadach, to przecież siedząc przez cały czas w więzieniu bez pomocy i obrony, ma ręce do działania raz na zawsze związane. Sam Giordano jest dobrze pojęty. Jest to badacz przyrody, nie wierzący katechizmowi, nieuznający dogmatów kościoła, nienawidzący „kłamstwa, któremi kapłani wszystko otoczyli,“ owe „owady czarne o długich połach i szubienicznych twarzach,“ co tak natrętnie go obsiadły i zadusiły. Jest to szlachetny marzyciel, pragnący wyzwolić ludzkość całą z pod jarzma tradycyi, zabezpieczyć jej swobodny rozwój myśli i zdobyć należne jej prawa, mistrz, który po za kościołami „tymi kamiennymi grobami myśli ludzkiej,“ wskazywał człowieczeństwu wspaniałą świątynię przyrody i głosił nową ewangelię „tej siły najwyższej, co zrodziła światy w niezmierzonej przestrzeni jak i bogów w mózgach ludzkich...“ Jest to bohater wielki, niczem nieugięty, gorący, namiętny w swych uczuciach i myślach. Ale to, co mu zarzuca doktór, jest niestety prawdą: wszystko u niego kończy się na kobietach, nałożnicach, zakonnicach—a i to, co on nazywa przyrodą „która sama jedna jest jedynem a wszystkiem“ dla innego zwie się Bogiem, absolutem, wszechduszą itp. W jego poglądach i przekonaniach jest z jednej strony wiele ogólników, i dawno przeżytych myśli, z drugiej strony zbyt wiele intuicyi, i jak na humanistę z XVI zbyt wiele—pozytywizmu XIX w., zresztą i najgenialniejsze myśli Giordana Bruno — są luźnie przez autora rzucone, nie powiązane organicznie, bo p. N. zamiast przedstawić nam swego bohatera w działaniu, w akcyi dramatycznej, mówi sam za niego (np. w monologu aktu IV sceny III). Pierwiastek refleksyjny przeważa w dramacie—gorąca, bezwzględna miłość mistrza do Beatrice jest prawdziwą oazą, ale i tutaj zamiast objawów uczucia słyszysz rozprawy (str. 32—3) Bruno, rozpływając się w rozkoszach nocy ślubnej, nie zapomina o śmierci (str. 65) a przed samą śmiercią na stosie rozwija swoją teoryę ewolucyi (str. 95—6). O wiele rzadsze są liryczne wylewy w rodzaju monologu pielgrzyma (str. 90—1) a zupełnie obcy dramatowi jest sam koniec do głębi wzruszający, ale mający charakter libretta opery. O architektonicznej budowie utworu daje wyobrażenie ta okoliczność, że autor skazujo bohatera na śmierć niechybną w 3 akcie (komisarz czyta mu wyrok inkwizycyi) a dramat toczy się jeszcze przez dwa akty. Wadliwością autora jest pewna jednostajność i częste powtarzanie się. Pod sam koniec poematu powtarza się trzykrotnie motyw szaleństwa (Giordana Bruno, Beatrice i Prokopa). Zużyty motyw łajania i wzajemnego obrzucania się błotem: służących (str. 41) członków kongregacyi, ujadających się jak psy (str. 42—3) a wreszcie najniższego gminu (str. 86—87) nuży także brakiem rozmaitości i—przypomina blade kopie Shakespeare'a z początku XIX. Ta jednostajność przebija się nawet w obrazowaniu (obraz lwa kilkakrotnie użyty). Przeświadczenie o swojej wielkości i ufności w siły własne, jest niemal wspólnym rysem charakteru osób od bohatera zacząwszy, a skończywszy na doktorze. Okoliczność ta, z pewnością nie przypadkowa, rzuca pewne światło na osobę młodego, pewnego siebie autora.

Cały dramat trzymany w tonie podniosłym—panuje w nim niezwykły polot myśli i głęboki nastrój uczucia. Tylko w kilku miejscach spada autor z tych wyżyn, ale wtedy już wala się w cynizmie i trywialności. (Scena nocna w więzieniu Bruna. str. 63—4). Ten naturalizm widać w niektórych obrazach np. owego nabrzękłego buhaja (str. 50) i opasłych pcheł kłutych szpadami (str. 16). Podnoszę to nie z purytanizmu, ale dlatego, że takie sceny i obrazy rzucone na tle idealnem, sprawiają wrażenie jak gdyby ktoś podczas sonaty Mozarta zgrzytał żelazem po szkle.

Osoby poematu p. Nossiga myślą i mówią logicznie, konsekwentnie. Nieusprawiedliwioną wydaje mi się tylko nagła zmiana w postępowaniu Moceniga, ucznia Giordana, jak się domyślam z zazdrości, tudzież nagłe wyzdrowienie mistrza w obłąkaniu, a już wcale niemożliwem jest, aby on mający „skute ręce i nogi“ rzucił się w obecności straży na Moceniga „obejmując go *ramionami*“ (?) i chcąc go „przechylić przez balustradę“ (str. 21—2). Modlitwa Giordana *do przyrody* (str. 95—6) nie ma sensu, jak jego cała miłość do wszechświata i człowieczeństwa. Modlić się można tylko do Boga a kochać ojczyznę, wyda się to może autorowi zbyt prostem i znanem, ale jest mimo to prawdziwem. Postanowienie bohatera, męczennika za ideę, aby w ostatniej chwili w płomieniach gorejącego stosu przycisnąć do piersi włosy kochanki (które mówiąc nawiasem spłonęłyby w okamgnieniu) trąci sentymentalizmem romantycznym. Czyn Beatrice, budzącej swego mistrza i kochanka ze snu na godzinę przed egzekucyą, wydaje się okrutnym i nie ludzkim (czego nie miał na myśli autor), podobnie jak jej wyrażenie po oddaniu się duszą i ciałem kochankowi: „*zdaje mi się*, Bruno, że cię kocham (str. 33). Jest to zapewne tylko niewłaściwy zwrot stylistyczny, jak owe słowa W. Inkwizytora dowiadującego się po 8 miesiącach śledztwa od swojego komisaryusza że „Bruno znajduje się w rękach Inkwizycyi“ (str. 25).

Język p. Nossiga jest świeży i oryginalny, w scenach podnioślejszych obrazowy i prawdziwie poetyczny. Tu i owdzie tylko rażą zbyt silnie nałożone barwy (str. 50), mające swe źródło w młodzieńczej przesadzie; tu i owdzie napotkasz zwrot obcy, niemiecki, jak np. owa *Spitzfindigkeit*: „Ludzie kochają się i zwierzają sobie; czasem kochają i nie mogą się zwierzać; czasem nie kochają, a mogą się zwierzać“ itp. a to wszystko wynurzenia miłosne! (str. 10). Wiersz biały, przeplatający w scenach bardziej ożywionych dyalog, jest trochę ciężki i wyszukany, niedorównywa mowie niewiązanej, t. z. prozie poetycznej, w której rozwija się cały dramat. Zauważyłem tylko w zwykłem opowiadaniu jakieś liryczne wykrzykniki (str. 25, 10 i n.) jeden błąd językowy (str. 51 nań zamiast na nie) niewłaściwy obraz „duszy wzrastającej jak woń rośliny“ i symbol sztuki „z piany i wonnego kwiecia wdzięcznie ulepionej.“ Są to drobne i gdzieś mozolnie wytropione usterki, nie mogące zaciemnić jasnych miejsc wspaniałego obrazu, który nam roztoczył młody i zdolny poeta. Zdrowe i głębokie myśli rozsiane w jego tragedyi, pokryją niedostatki utworu i techniki dramatycznej.

Z.

LIBERUM VETO.

Pogrobowe liberum veto arystokratki polskiej. — Świadectwo niepodejrzanej wartości. — Świecące próchno. — Galerya szlachetnych. — Dwie twarze wielkopaństwa. — Latający szlachcic Wysockiego. — Potrzask na krytyka. — Niecierpliwa uczciwość. — Kilka elementarnych pytań z etyki.

W atmosferze kłamstwa, blichtru, półuczuć i pół-myśli, w świecie, w którym rozdyma się próżność a kurczy rozum, nisko instynkta natury ludzkiej wypływają na wierzch a wyższe toną, wszystkie cnoty nabierają świętości w herbach a występki otrzymują w nich rozgrzeszenie — na takiej umysłowej i moralnej skale, nierodzącej nic prócz skarlałych krzewów, musiał zbiednieć, szybko zwiędnąć i zamrzeć kwiat piękny, do żyznych pól przeznaczony. Ta kobieta, należąca do jednego z najpierwszych w Polsce rodów, bogata, od dzieciństwa oddychająca powietrzem wielkopańskiem, nie budziła zapewne w swem otoczeniu dalszem przypuszczeń, że na dnie duszy nosi ukryty protest, że jej pierś wypełnia tragiczny bunt. Nie daremnie ojcem jej był orzeł, który szybował tak wysoko, że go siedząc na

szczytach jastrzębie dojrzeć nie mogły. I ona uczuła w sobie chęć do lotu, ale zamknięta w klatce, z połamanemi skrzydłami, mogła tylko tęsknić i skarżyć się na swą niemoc.

Zdawało się, że na arystokratycznej konsoli leży zwykła, błyszcząca muszla, której całą wartością są dziwaczne skręty i barwy, a całem życiem—bezmyślny szum powietrza. Nagle ktoś ciekawą ręką otworzył tę muszlę i znalazł w niej perłę, którą wystawił na widok publiczny. Żyła niema, po śmierci dopiero przemówiła językiem, którego się w niej ani domyślano.

„Gdyby zamiast tego głupiego pięcia się szlachty do arystokracyi, mieszczaństwa do szlachty i tej niemniej głupiej walki pseudo-arystokratów z niemniej pseudodemokratami, z których niejeden duszą i ciałem jest pankiem; gdyby szlachta z mieszczaństwem razem zabrała się do pracy, do przemysłu i handlu, pojmując to jako obowiązek narodowy, aby lud ocalić od oszustwa, lichwy i demoralizacyi, a naród cały od wynarodowienia i ruiny, więcej stokroć by to pomogło, niż skargi, powoływania się na tradycye, jeremiady językowe i gazeciarskie. W tem byłby jedyny postęp, potęga materyalna i duchowa. Całej ludzkości grozi upadek cywilizacyi, niewola, hańba i zbydlęcenie w ręku ludzi, żyjących z krwawego potu ludzkiego, z ciemnoty masy, w ręku indywiduów, niemających innego ideału, oprócz pieniądza i wygody ciała.

„Przedstawiciele arystokracyi są dwojacy: jedni bezmyślni, nawet cyniczni *à la* Rolla, sami sobie dekret śmierci podpiszą; drudzy albo się z letargu ockną, albo też zginąć muszą... Niektórzy jej członkowie puściliby się może już teraz na nowe tory, zelektryzowani przykładem Anglii i pustkami w kieszeni, ale natenczas zamożna szlachta na pewno odmówi córek, bo dla niej hrabia—garbarz, baron—piwowar, książę—profesor są nic warci. Szlachta (naturalnie nie mówię o tej, która spokojnie na zagonie swoim siedzi, ale o tej, co na warszawskie zjeżdża popisy) woli nieuka, leniucha, blagiera, który incognito zbiera pożyczki na wieczne oddanie, lub zarabia na rękawiczki i frak kartami, bilardem i intrygami zakulisowemi, niż dzielnego pracownika, na którego licu i ręku dostrzedz można szlachetne blizny znoju."

I wiecie, kto ten potępiający wyrok wydał na szlachtę i arystokracyę naszą? Niedawno zmarła hr. Marya z Krasińskich Raczyńska, córka Zygmunta, której listy p. Aniela Tryplin ogłasza w *Świcie*. Świadectwo z takich ust o stronność i nieznajomość ludzi oraz stosunków podejrzanem być nie powinno. Składa je nie „warchoł," dosięgający złym językiem tych, których znaczeniem dosięgnąć nie może, ale hrabina, córka najwyżej arystokratycznego rodu. Trzeba czytać jej listy, czytać koniecznie, bo tam dopiero odsłonięta nędza moralna naszych społecznych wierzchołków. Autorka nie poprzestaje na uwagach ogólnych, lecz szkicuje całą galeryę, której portrety w druku okryto naturalnie bezimiennością. Oto „chłopiec sprytny, wykształcony, pracowity jak mrówka, hojny dla biednych," posiadający 8 tysięcy rubli pensyi, nie może się ożenić; natomiast jego „kuzyn, blagier, samolub, rozpustnik, bez grosza fortuny a z długami po uszy, chorowity i zniszczony, niby młody Byron przewraca głowy i przyciąga posagi, bo dziesięciopałkową koroną raczy się pieczętować, bo gra czule piosenki ukraińskie bez taktu i rytmu, głusząc fałszywe nuty pedałem i tremolem, bo rysuje konie apokaliptyczne, pisze wiersze karmelkowe bez rymu, ani sensu." Oto drugi znowu „potwór brzydoty i idyotyzmu," próżniak, zdobywał matki i córki, bo „przypiął sobie z przeproszeniem ogromną mitrę Witoldowiczów, czy Kiejstutowiczów na dnie cylindra i na spodeńkach." Ale za to inny „anioł dobroci, najzacniejszy syn, brat i polak," pomimo „protekcyi dostojnych ciotek" nie pozyskał względów panny, gdyż „niczem nie może zetrzeć hańby, którą się napiętnował, pracując jako oficyalista prywatny z pensyą 5 tysięcy rubli. Gdyby był przez ten przeciąg czasu hulał, grał w karty za pożyczane pieniądze, przyjął rolę rezydenta lub pieczeniarza w dygnitarskich salonach, innem okiem by na niego patrzono."

Według autorki u góry społeczeństwa zapanowała próżność, a „na dnie tego powierzchownego błazeństwa rozrasta się nikczemna głupota i oburzający egoizm." „Też same obywatelki, które najbliższemu, na suchoty umierającemu krewnemu drzwi przed nosem zamkną, nie dawszy grosza zapomogi, które w swojej parafii nigdy proboszczowi rubla nie ofiarowały na odświeżenie ołtarza, tutaj (w Warszawie) zapisują się do bractw ornatowych, szkaplerzowych i różańcowych; krzyżem gotowe leżeć u Wizytek, aby tylko zwrócić na siebie uwagę naszych arystokratek i dzięki ich protekcyi wprowadzić córki w t. z. *beau monde*. Kwestującej hrabinie dadzą 200 rubli na ochronkę, a w godzinę potem z biedną nauczycielką o dwa złote targować się będą. Nic dla mnie wstrętniejszego nad tę parodyę naszej polskiej, poczciwej religijności. Wolę ateuszów, niż takich, co pod płaszczykiem pobożności hodują wszystkie najgorsze instynkta... Do tych, którzy mi z uśmiechem pełnym wdzięku dawali sturublówki dla nędzarzy, posyłam nieraz incognito zaufane, choć biedne osoby, i wierzaj mi pani, że dla nich zawsze, pomimo wszelkich dowodów nędzy, serce i kieszeń na trzy rygle były zamknięte." Autorka opowiada, że gdy urządzała żywe obrazy, biorący w nich udział panicze i panie nie mieli wyobrażenia o najgłośniejszych utworach poezyi polskiej. „Kiedym zaproponowała obraz z poematu *Ostatni*, stojący obok mnie młodzian zapytał, czyja to komedya *Ostatki*."

Mimo pewnego zdemokratyzowania się społeczeństwa i sceptycyzmu, ogół, patrząc na te bohaterki i bohaterów, którzy żyją tylko w bogatych salonach, jeżdżą tylko karetami i zstępują na ziemię tylko w obłokach zbytku — ani przypuszcza, że to świecące próchno, że to w szychy przybrane samolubstwo i zuchwała głupota, że te wielkie damy — jak mówi Raczyńska — „głodzą się podczas kuracyi w miejscach kąpielowych, a z table d'hôtu zgarniają do kieszeni kawałki pulard i omarów."

W pierwszym numerze nowego miesięcznika *Fortuna* (który najeżył się kolcami, szkoda tylko, że zaostrzonymi nieraz w sposób kuryerkowy) p. Wł. Wysocki pomieścił satyrę, której osnowa rymuje się dobrze z treścią owych listów. Jest to ballada p. t. „Latający szlachcic." Pan Mateusz z Wołynia zasnął sobie syty w ogrodzie. Spostrzegł go Eol, który dla uciechy przypiął mu swe skrzydła i musnął słomką po nosie. Szlachcic, sądząc, że mucha mu dokucza, machnął rękami i ku wielkiemu swemu zdziwieniu wzleciał w powietrze. Z początku zdumiony swą przemianą uczuł trwogę i tęsknotę za ziemią, ale wreszcie pogodził się z podniebnem przestworzem, a nawet do Srula, który mu niespodziewanie wylazł z kieszeni, rzekł:

Darmo duchów wyższych chcesz pojąć żądze,
I to, co nas rwie, ciska
W ideałów siedliska.

Tymczasem, żona, dzieci domownicy, stojąc na dole, lamentują i myślą, jak by pana ściągnąć. Jedni z wioski radzą posłać po znahora, inni po czarownicę, inni po sprawnika, inni po księdza. Przyszedł kapłan, ale wyznał, że egzorcyzmy i zaklęcia religijne teraz nie pomagają

Mam ja inne narzędzie,
Skuteczniejsze to będzie
Dla podcięcia jegomości tych skrzydeł.

To rzekłszy, wyjął z kieszeni—talię kart, rozłożył ją i zawołał w górę do latającego szlachcica:

Spójrz no stamtąd: oto trzymam te karty,
Na te króle, te asy,
Wisty, kotły i pasy
Zaklinam: zleć!... lub niech porwą cię czarty!

Szlachcic istotnie runął na ziemię

I do dzisiaj (jak powszechna wieść niesie)
Z księdzem, z panem sprawnikiem
Za zielonym stolikiem
Pan Mateusz tnie się sobie i tnie się.

Między zaś jednem a drugiem rozdaniem kart narzeka zapewnie na zepsucie obyczajów, na upadek wiary, na poniewierkę ideałów narodowych — w prasie postępowej.

Hr. Raczyńska ma słuszność, upominając autorów, że snują swe utwory ze złudzeń. Życie nieraz dostarcza powieściopisarzom takiego materyału, o jakim najfantastyczniejsza wyobraźnia zamarzyć może. Przed kilku tygodniami w jednem z mieszkań magnackich Lwowa rozegrała się scena brutalna, ohydna, którą przeniesiono do sądu. Pewien krytyk, oskarżający pewnego hrabiego o wydanie pod swem nazwiskiem cudzych nowel, wpadł nieostrożnie w zastawiony przez niego potrzask, w którym pod naciskiem gwałtu odwołał piśmiennie swój zarzut i wydobył się z zasadzki obarczony pozorami nieenoty. Nie rozbieramy przedmiotowo samej sprawy przed wyrokiem trybunału państwowego; zaznaczamy tylko zacną gotowość, z jaką kilka pism pośpieszyło na usługi lwowskiego pana i zelżyło zasłużonego kolegę bez żadnych dowodów winy. Czy uczciwość rzetelna jest istotnie tak niecierpliwą, że musi natychmiast ochłostać człowieka publicznie, zanim go wysłucha? Czy tak mamy do zbytku charakterów czystych, że byle ochotnikowi wolno lekkomyślnie unurzać każdego powalonego? Czy rzucający błoto pamiętają o tem, że ono może przyschnąć na człowieku niewinnym, któremu krzywdy niczem nie wynagrodzą?

Że tych pytań nie zadał sobie dziennikarski łobuz — to jest naturalnem; ale że one nie przeszły przez głowę pewnej gazecie warszawskiej, która chce być sprawiedliwą a jest w własnem kółku do zbytku wyrozumiałą — to dziwne.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Pożary. — Żniwo wiosny. — Długi większej własności. — Na Wołyniu. — Optymizm. — Zamiary przemysłowe. — Wiązanka. — W Humaniu. — Bohater, którego biografię trzeba ustalić. — Cud.

Wiosna wprowadza zawsze pewną rozmaitość w jednostajnej treści kroniki prowincyonalnej. Do litanii utyskiwań na smutny stan materyalny i smutniejszy jeszcze może stan moralności i bezpieczeństwa publicznego dodaje ona wieści o pożarach, epidemiach, zepsutych drogach i wreszcie oklepaną aż do znudzenia, ale weselszą piosenkę o przygotowaniach do wystawy lub nawet—jak w tym roku—do wystaw rolniczych.

Okres pożarów rozpoczął się już na dobre. W gubernii lubelskiej w ciągu dwóch tygodni było aż 9 wypadków ognia, wszystkie, rozumie się, z przyczyn niewiadomych. Oprócz tego w tejże gubernii w ostatnich dniach spłonęło 16 domów w Krężnicy, 25 w Krasnobrodzie, a w Zamościu pożar wszczynał się aż dwa razy.

Z innych miejsc nie mamy szczegółowych wiadomości, w ostatnich jednak dziennikach znajdujemy wzmianki o poża-

rach w Kamieńcu, Terespolu, Przasnyszu, Częstochowie, Szamotach i fabryki żelaza w Bodzechowie. Na ołtarzu naszego znicza składamy więc chyba dosyć obfite ofiary.

W Zamościu w jednym wypadku zauważono umyślne podpalenie, w drugim—przyczyną klęski była zwykła nieostrożność. Mieszkańcy spalonych a nawet i sąsiednich domów ponieśli znaczne straty wskutek zbytniej gorliwości ratujących. Do pomocy straży ogniowej dodany został oddział wojska. Żołnierze działali na własną rękę i wbrew rozkazom naczelnika straży wyrzucali meble z okien pierwszego i drugiego piętra. Tymczasem ogień zdołano opanować i mieszkania ocalały, spłonęły w nich tylko niektóre cenniejsze rzeczy, których nieodnaleziono w rumowisku połamanych sprzętów. Ogień okazał się w tym wypadku sprytnym szkodnikiem, który dobrze wiedział co niszczyć.

Jeden z lokatorów stracił, jak donosi *Gazeta lubelska*, nietylko mienie, ale i żonę. Schorowaną kobietę dobił przestrach.

Miasteczka nasze na własną rękę starają się zabezpieczyć od pożarów, dotychczas jednak udało im się zastosować jeden tylko środek, który wprawdzie nie zapobiega nieszczęściu, ale przynajmniej zmniejsza jego doniosłość; środkiem tym są ochotnicze straże pożarne. Lubartów idzie obecnie za przykładem innych miast, na przeszkodzie stoi brak funduszów, który probują mieszkańcy usunąć za pomocą dochodu z teatrów amatorskich.

Co prawda nie zawsze straż ochotnicza odpowiada swemu zadaniu. Oto np. co mówi korespondent *Tygodnia piotrkowskiego* o pożarze w Częstochowie:

„Od pierwszego krzyku „gore" ubiegło półtorej (?) godziny, zanim z trzema sikawkami i jedną beczką wody zjawiła się wreszcie straż ogniowa. Na zapytanie jednego z ciekawych: „dlaczego panowie tak późno przybywacie na ratunek?" odpowiedziano: „co komu do tego..." A gdzież reszta beczek? spytano jednego z członków—na co tenże odparł z wielkiem namaszczeniem: „beczki są w szopie, a masz pan konie lub ochotę, to je sobie przyciągnij."

Straż częstochowska posiada poczucie godności osobistej i dobry humor, który nie opuszcza jej członków nawet podczas katastrofy. Cenny ten przedmiot podsycał niewątpliwie tradycyjny „nastrój świąteczny," w tym bowiem czasie zdarzył się właśnie pożar.

Nie będzie regestrował szczegółowo skarg na opłakany stan dróg i na związaną z nim sprawę opóźniania się poczt, zaznaczę tylko, że jeden numer *Gazety radomskiej* mieści aż trzy zażalenia tego rodzaju.

Pora epidemij właściwie już przeminęła; dzienniki prowincyonalne notują jednak pojawienie się w kilku miejscowościach ospy i tyfusu, który grasuje w Łęczycy i Sosnowcu. Należy się spodziewać, że są to ostatnie podrygi korowodu chorób, ponieważ stosunki naszego światka są tak mądrze urządzone, iż każda plaga trapi nas po kolei i we właściwym czasie. Teraz zaczyna się pora pożarów, sądzę więc, że nawet cholera nie ośmieli się osłabić wiary *Biesiady literackiej* w „rozumne kierownictwo" i poczeka ze swą wizytą aż do ukończenia sezonu ogniowego.

Niektóre wszakże uprzywilejowane plagi wyłamują się z pod tego ogólnego prawa; oto np. kradzieże koni, jak lakonicznie wyraża się *Gazeta lubelska* „są u nas na porządku dziennym."

Z porządku dziennego nie schodzą również długi ziemiańskie, które zresztą są t. z. zjawiskiem ciągłem, najbardziej uwydatniającem się kilka razy do roku w porze płacenia rat Towarzystwa lub pożyczek bankowych.

Pisma nasze wypisują szczegółowe dane o obdłużeniu większej własności ziemskiej w guberniach, które wbrew logice nazywamy zachodniemi, chociaż leżą na wschód od nas.

Na Litwie i Białej Rusi 35% ogólnej przestrzeni gruntów ziemiańskich zastawione są w bankach, w trzech zaś południowych guberniach 44%. Ogólna suma pożyczek bankowych wynosi 92 miliony rubli i wynosi mniej więcej 50% wartości odłużonych majątków. Niektóre pisma cieszą się z takiego rezultatu obliczeń, zapominając, że stosunek długów prywatnych w wymienionych guberniach jest znacznie większy, aniżeli u nas, i że procenty od pożyczek bankowych są dosyć wysokie.

Przepisy, krępujące przechodzenie z rąk do rąk własności ziemskiej, utrudniają kredyt, który udzielany bywa jedynie na nader uciążliwych dla rolnika warunkach. *Gazecie rolniczej* piszą z Wołynia, że prawo z d. 27 grudnia najbardziej dało się we znaki właścicielom rosyjskim, którzy nabyli dobra na zasadzie ulg i przywilejów. Wszystkie prawie majątki tej kategoryi oddane były w dzierżawę osobom, które nie miały na to prawa. Dzisiaj dzierżawcy ci występują z żądaniami o rozwiązanie kontraktu, niektórzy zaś wprost porzucają majątki, zabierając z sobą inwentarz żywy i martwy. Dobra skonfiskowane niegdyś i sprzedane później w drodze przymusowej mają być odebrane właścicielom, rozparcelowane i oddane na dogodnych warunkach wypłaty szacunku włościanom sprowadzonym z gubernij rosyjskich. Projekty tej operacyi przygotowują się już w kancelaryach generał-gubernatorów kijowskiego i wileńskiego, a, jak *Gazeta polska* donosi, Towarzystwo rolnicze mińskie otrzymało szemat dla zebrania danych, dotyczących cen ziemi w rozmaitych miejscowościach gubernii i żądanie wskazania środków mogących ułatwić kupno ziemi włościanom z gubernii środkowych Cesarstwa.

Korespondent *Gazety rolniczej* sądzi odnośnie do właścicieli pochodzenia polskiego, że „ogólnego położenia już przedtem nieosobliwego wszystko to nie zmienia." Optymizm taki godzien byłby zazdrości, gdyby nie był tak mocno... naiwnym.

Wypada zanotować projekt zbudowania kolei z Łodzi przez Ozorków i Łęczycę do Kutna, który posiada podobno pewność urzeczywistnienia, wiadomość o założeniu fabryki lokomotyw w Sosnowcu przez kapitalistów niemieckich i fabryki farb suchych i płynnych w Łodzi. Cieszy mnie zawsze rozwój naszego przemysłu i pod wpływem powyższych wiadomości oddałbym się chętnie przyjemnym marzeniom, gdyby nie psuły mi dobrego usposobienia takie oto fakty, które pomimo tego, że drukują się zwykle gdzieś na szarym końcu, zawsze jak na złość nie w porę wpadają mi w oczy:

„W fabryce p. J. K. Poznańskiego w Łodzi uległo troje dzieci poparzeniu przy kotle parowym.

Wypadek zdarzył się podobno skutkiem nieostrożności rodziców."

To klasyczne „podobno" *Kurjera codziennego* przywraca mi dobry humor, kiedy w tem rzucam wzrokiem wyżej i znajduję:

„W gorzelni folwarku Mączyn w Hrubieszowskiem skutkiem pęknięcia kotła, dwóch robotników zostało zabitych, trzech zaś odniosło ciężkie obrażenia."

Jeżeli ci nieszczęśliwi nie byli sierotami, należałoby „nieostrożnych rodziców" postawić również pod pręgierzem.

Pod wpływem tych przykrych faktów „niedbalstwa rodzicielskiego" tracę część zachwytu dla wielkich fabryk a natomiast przenoszę moje sympatye na stowarzyszenie wytwórcze, jakie założyli rzemieślnicy łomżyńscy, chociaż brak dokładniejszych danych przeszkadza mi w ścisłem określeniu stopnia współczucia.

Więcej jeszcze cieszy mnie zakładanie nowych szkół, zaznaczam więc piękny przykład mieszkańców Sandomierza i okolicy, którzy własnym kosztem pragną czteroklasowo progimnazyum przekształcić na sześcioklasowe. Lękam się tylko czy dobre ich chęci nie doznają takiej odprawy, jak zamiar pewnego doktora w Humaniu, który chciał wygłosić odczyt na korzyść „Towarzystwa wspierania ubogich uczniów" miejscowego progimnazyum i w tym celu poprosił inspektora a zarazem prezesa towarzystwa o pozwolenie korzystania z sali szkolnej. P. przewodniczący odpowiedział, że towarzystwo nie widzi żadnej potrzeby urządzania odczytu. Ciekawe muszą być przyczyny tej odmowy, pozbawiającej ubogich uczniów tak potrzebnego wsparcia, tembardziej, że sala gimnazyalna niejednokrotnie uprzejmie była ustępowaną różnym magikom i antyspirytystom.

Inspektor progimnazyum humańskiego jest naszym ziomkiem, wychowańcem Szkoły Głównej, muszę tu dodać, chociażby ze względu na to, że tak głośna osobistość może stać się kiedyś przyczyną międzynarodowego sporu, nosi bowiem nazwisko niemieckie— Ronthaler.

W Kijowie wydarzył się cud. Pewien obywatel spotkał na ulicy czarną świnię, która posadziła go na swój grzbiet i doniosła do mieszkania, poczem znikła. Zdarzenie to, stwierdzone zeznaniami świadków, obywatel zakomunikował policyi. Wypadek ten stoi zapewne w związku z „nastrojem świątecznym," pod wpływem którego w jeden dzień tylko dwie osoby zmarły wskutek nadużycia trunków.

P. Ruskij Strannik po dawnemu twierdzi jednak, że Kijów zatracił „ducha narodowego.

N.

Radom. W pierwszych dniach czerwca urządzoną ma być wystawa przemysłowo-rolnicza ze szczególnem uwzględnieniem drobnego przemysłu; potrwa ona kilka dni zaledwie, poczem wszystkie okazy przesłane będą na wystawę warszawską.

Kalisz. Ustawa oddzielnego Towarzystwa kredytowego dla miasta z przychylną opinią władzy miejscowej odesłaną została do zatwierdzenia.

Z Kijowa. Mam przed sobą książeczkę, zatytułowaną: *Piśni, dumki i szumki ruśkoho naroda na Podoli, Ukraini i w Małorossyi spysany i perełożeny pid muzyku A. Kocipińskim* — Kijów, 1885, wydanie księgarni Bolesława Koreywy. Niepokaźna ta książeczka, posiadająca 148 stron zadrukowanej bibuły i 32 katalogu nasuwa mi pewne myśli, doprawdy niezbyt wesołe. Mimowoli zapytuję siebie: czem są takie wydania i w jakim celu podejmowane? Są lichotą pod każdym względem, a podjęte *jedynie* dla zysku, obliczonego z jednej strony na efekt nazwiska autora, z drugiej — na popyt wywołany chwilową potrzebą. Nie sądzę bynajmniej, że księgarz powinien pracować dla publiczności darmo, ale mamy prawo żądać, aby pracował—przynajmniej *godziwie*. Przyrównałbym go pod pewnym względem do kucharza...

U wielu narodów oświeceńszych od nas, zwłaszcza u francuzów i niemców, istnieje osobna gałęź literatury, którą rozmaici geszefciarze karmią łaknących odrobiny pokarmu duchowego bez względu na to, że ci czytelnicy dostają kataru umysłowego, t. j. zaciemnienia pojęć, czyniącego ich niezdolnymi do przetrawienia nawet najlżejszych pokarmów. U nas do tej kategoryi zalicza się t. z. *literatura częstochowska*, którą reprezentują, oprócz wielu mniejszej braci, wydających senniki, tacy rycerzy pióra, jak *Kamienni*, *Pancerni*, *Sępy* et consortes, a u naszych sąsiadów t. z. *łubocznaja*.

W takie to ramki oprawił p. Koreywo Kocipińskiego. Losy jego śpiewników ukraińskich znane są dobrze: wydane łacińskim alfabetem, zyskały sobie ogromną popularność. Resztki po ś. p. Kocipińskim, których od r. 1863 już nie

sprzedawano, nabył p. Koreywo i wydaje teraz po swojemu, czyli, mówiąc inaczej, poluje jednocześnie na dwa zające, bo drukuje tekst pieśni osobno a muzykę z tekstem osobno. Kocipiński był przedewszystkiem artystą, muzykiem — etnografia, antropologia nie interesowały go wcale; on zbierał prześliczne swoją harmonią i melodyjnością pieśni rusińskie, ale nie zbierał ich *tekstów*. Gdzie znalazł piękną melodyę, tam brał ją jak własność, jak skarb powszechny i zapisywał; to jego zasługą, bo stworzył najrozmaitszy i najbogatszy śpiewnik ludu rusińskiego. Gdyby p. Koreywo przedrukował tylko część muzyczną, moglibyśmy podziękować mu za pracę; ale on ogłasza tekst pieśni osobno i tworzy a raczej fabrykuje książkę, niemającą żadnej wartości ani etnograficznej, ani naukowej, ani literackiej.

Piśni, dumki i szumki w wydaniu p. Koreywy wyszły tedy sklejone ze sobą tylko przez zecera, z zachowaniem nawet błędów w nazwach, stworzonych, a raczej upowszechnionych przez znaną *ukraińską* szkołę pisarzy polskich. Czytając tę książeczkę, widać na każdej stronie, że wydawca niema najmniejszego pojęcia o krytyce materyału etnograficznego i używa wyrazów: „dumka, „szumka“ z naiwnością szesnastoletniej panienki, znającej utwory Bohdana Zaleskiego — a według nich Ukrainę. Nieznajomość abecadła poezyi ludowej ukraińskiej pozwala nakładcy w wydaniu *materyału używać* zmyślonego słownictwa, którem kilkadziesiąt lat temu mógł jeszcze posługiwać się Kocipiński, gdyż jemu, jako kompozytorowi, chodziło tylko o melodye. Lud ukraiński używa wprawdzie wyrazu „dumka,“ ale nadaje mu znaczenie zamyślenia, rozwagi; mówi zawsze *dumku dumaty*, ale nie — *dumku śpiwaty*. Wydawca używa również *hailka* zamiast *haiwka* (cykl pieśni wiosennych), nie tłomacząc się z tego. Można nie dziwić się dyletantyzmowi p. Sienkiewicza, który opisuje Ukrainę tem samem piórem, tymi samymi obrazami, co pampasy albo ljanosy południowej Ameryki a kozakom w pochodzie każe *dumy* śpiewać; ale należy dziwić się wydaniu p. Koreywy, które przecie nietylko dla polaków ujrzało światło dzienne.

Ludzie tu czytają chętnie i kupują, zamiast więc takich trzęsionek, jak *Piśni, dumek, szumek* etc. byłoby większą zasługą wydawać chociażby kalendarze. Jako „interes“ nawet nie musi to być przedsięwzięcie złe, skoro np. taka licha pod każdym względem *Jutrzenka*, wydana przeszłego roku przez jakiegoś spekulanta, tego roku znalazła wydawcę pod postacią p. Bublika. Do dziwolągów miejscowych należy zaliczyć wydanie przez p. Małaszkina *Kantaty* na uczczenie pamiątki 1000-letniego jubileuszu św. Cyryla i Metodego. P. Małaszkin, specyalny poeta „od romansów,“ do których sam napisał muzykę, był dotychczas znany jako autor czułych pieśni: „Wsio ticho, sładko spit“ lub „Wied' ty kak roza czista,“ dostroił swoją lutnię i natchnienie na ton uroczysty—dlaczegóżby tego nie zrobił? Rzecz pójdzie, jest na dobie... Ach, dlaczegóż zdrowy sens nie zawsze na dobie?!

R.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 16 kwietnia.

Spór anglo-indyjski w dalszym ciągu wyłącznie prawie zajmuje uwagę gazet, odsuwając na plan dalszy inne kwestye. Pomimo wznowienia się niepokojących wieści, nadzieja pokojowego załatwienia sprawy ma być bliską urzeczywistnienia. Rozumie się, będzie to załatwienie tymczasowe, niewyłączające wcale możliwości starcia orężnego kiedyś, w bliskiej może przyszłości, ale w warunkach dzisiejszych pożądane dla stron obu, przez Anglię zaś pomimo pozorów marsowych z obawą oczekiwane.

W ostatnich dniach rokowania wprawdzie przyjęły obrót niezbyt pomyślny. Ministeryum angielskie otrzymało depesze od swego agenta generała Lumsdena, przedstawiające bitwę pod Kuszkiem w innem świetle, aniżeli raport generała Komarowa. *Standard* donosi znowu, że Rosya poruszyła powtórnie kwestye, które uważano już za załatwione, wreszcie pojawiły się pogłoski o usunięciu się p. Giersa. Wiadomości te odbiły się na giełdzie ponownym upadkiem kursu rubla, istnieją wszakże dane, pozwalające sądzić, że jest to prosta spekulacya giełdowa.

Doniesienia o układach z Turcyą, o żądaniu kredytu od parlamentu, o wielkich uzbrojeniach itp. to po prostu manewry dyplomatyczne, które w rokowaniach grają rolę przekonywających argumentów, ale bynajmniej nie oznaczają jeszcze wojny. Co najwięcej są one chyba zabezpieczeniem się na wszelki wypadek.

Układy z Turcyą mają właśnie na celu takie zabezpieczenie się, dotyczą one zamiany w Sudanie wojsk angielskich tureckiemi. Porta ociąga się, pragnąc cokolwiek więcej wytargować. Do licytacyi stają również Włochy, które także chciałyby przy okazyi cokolwiek zyskać.

Pokój Francyi z Chinami zdaje się, że tym razem ostatecznie już zostanie zawarty, wpawdzie w ostatnich dniach stoczono potyczki, ale ponieważ francuzi pozostali zwyciężcami, więc honor armii nie będzie wymagał nowej walki a w praktycznych chińczykach przegrana wzmacnia tylko pokojowe usposobienia.

W składzie gabinetu francuskiego po 10 dniach istnienia zaszły już pewne zmiany. Minister skarbu Clamageran złożył tekę, miejsce jego zajął Sadi Carnot, dotychczasowy minister robót publicznych. Radykalni, który obalili Ferrego, niezadowoleni są z nowego gabinetu, ponieważ ten zamyśla również oprzeć się na oportunistach.

Posiedzenia austryackiej Rady państwa zamknięte zostały mową cesarza, która wylicza korzyści, jakie spłynęły na państwo i składające go narody podczas autonomicznych rządów hr. Taaffego. Opinia publiczna w Galicyi inaczej trochę o tem sądzi, powinna jednak zjednać ją nowa łaska dla polaków: podczas pobytu króla szwedzkiego w Wiedniu witali dostojnego gościa w imieniu obu izb parlamentu pp. Smolka i Czartoryski. Zaszczyt ten wynagrodzić powinien porażki w sprawach regulacyi rzek, ugody kolejowej itd. Przecież już od lat wielu sprzedaje Galicya za tę soczewicę swoje najsłuszniejsze wymagania, swoje najświętsze prawa.

Wybory do Rady państwa odbędą się w pierwszych dniach Czerwca, autonomiści spodziewają się osiągnąć taką większość, która pozwoliła by im obywać się bez poparcia partyi środka (kluby Coroniniego i Lienbachera). Nadzieja zwycięstwa opiera się głównie na tem, że lewica podzieliła się na dwa odłamy, z których jeden pozostaje wierno - konstytucyjnym i wierno-poddańczym, drugi zaś wywiesza otwarcie sztandar wszechgermański.

Podobno nowej izbie gotuje rząd niespodziankę: projekt ostatecznego przyłączenia Bośni, na który pozyskano już zgodę stron interesowanych. W chwili największego zaostrzenia sporu anglo-rosyjskiego przebąkiwano nawet o zajęciu Saloniki, kiedy jednak widnokrąg polityczny wyjaśnił się nieco, rząd austryacki czemprędzej umył ręce i wyparł się wszelkich okupacyjnych zamiarów.

W tych dniach ma być ogłoszoną unia osobista Belgii i Państwa Kongo, zgoda izb belgijskich na ten projekt jest już zapewnioną. Nowe państwo zajmuje około 45,000 mil. kw. i liczy 30 milionów ludności, generalnym gubernatorem mianowany został b. reporter amerykański—Stanley.

W Kanadzie wybuchło powstanie w okręgach zaludnionych przez franko-indyjskich metysów. Indyanie nietylko miejscowi ale i ze Stanów Zjednoczonych chętnie niosą im pomoc, rabując osady angielskie.

W środkowej Ameryce walczą z sobą maleńkie rzeczypospolite Guatemala, San Salvador i Nicaragua, o co — zapewne samo dobrze nie wiedzą.

Konstantynopol. Ambasadorowie wszystkich państw wyrazili Porcie zbiorowo, w sposób poufny zdanie mocarstw, że zamknięcie Bosforu i Dardanellów opiera się na deklaracyi międzynarodowej, która nie może być przez Portę na niczyją korzyść zniesioną.

Londyn. Po odczytaniu depeszy Lumsdena, rząd angielski wysłał do Petersburga depeszę, w której wyraża zdanie, że w starciu pod Aktepe rosyanie byli stroną napadającą i żąda, żeby rząd rosyjski oświadczył, iż nie pochwala działań gen. Komarowa.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Warszawskij Dniewnik przytacza z pamiętników b. prefekta policyi paryskiej Andrieux szczegóły dotyczące nihilistów rosyjskich.

„Nihiliści rosyjscy poprzednio stanowili nieliczną kolonię i nie mieli stosunków z rewolucyonistami niemieckimi i francuskimi. Ale od 1876 r. liczba ich zwiększyła się znacznie. W epoce spisków, jakie przechodziła Rosya, zawiązali oni stosunki ze swymi ziomkami rozproszonymi w Szwajcaryi, Belgii i Anglii a również z socyalistami niemieckimi i francuskimi, uczestniczyli na ich zebraniach grupami, liczącemi 12—15 ludzi kierowanych przez dowódców inteligentnych, wykształconych i energicznych. Byli to po większej części studenci medycyny, dziennikarze, farmaceuci słuchający lekcyi profesorów paryskich.

Kobiety grały ważną rolę w kolonii nihilistycznej. Nie zawsze znajdowały się one na zebraniach, ale działały jako emisarki, otrzymywały listy, podejmowały się zleceń hazardownych i często odbywały podróże.

Szczególną uwagę—dodaje p. Andrieux,—zwróciłem na coraz ściślejsze stosunki rosyan z socyalistami francuskimi; lękałem się bowiem, żeby używanie dynamitu nie stało się zwyczajem naszych rewolucyonistów.“

Dalej Andrieux opowiada szczegółowo aresztowanie Hartmana.

„Trzeba było pokazać nihilistom, że ich zamachy na osobistości uważane są zagranicą, nawet w państwie republikańskiem, jako przestępstwa kryminalne, za które od odpowiedzialności emigracya bynajmniej nie uwalnia. 15 lutego poselstwo rosyjskie prosiło mnie, abym aresztował Hartmana. Nie przyszła mi nawet do głowy myśl, żeby w podobnych okolicznościach prefekt policyi mógł się wahać. Postarałem się oddać przestępcę w ręce rządu francuskiego, Hartman został aresztowany na Polach Elizejskich podczas przechadzki wspólnej z towarzyszami. Po krótkim oporze poprowadzono go do biura policyjnego. Rezultaty rewizyi w jego mieszkaniu, badanie, porównanie fizyognomii z fotografiami, znajdującemi się w prefekturze, nie pozwalały wątpić o tożsamości, chociaż aresztowany twierdził, że jest Edwardem Meyerem, berlińczykiem. Ale żądanie wydania zostało odrzucone, mnie zaś polecono wyprawić Hartmana do Anglii. Kiedym wszedł do jego celi, siedział na ławie przy stole, przykuty na łańcuchu do ściany i objadował, oczekując na decyzyę, która stanowiła o jego losie. Nie bez wzruszenia oznajmiłem mu o rozkazie uwolnienia. Po trzytygodniowym pobycie w areszcie prefektury Hartman udał się do Dieppe, a stamtąd do Londynu pod dozorem agenta policyjnego. Z Anglii pisywał do różnych gazet, i muszę wyznać, że mniej był oburzony na prefekta policyi, aniżeli dziennikarze francuscy.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Prasa polska. Pierwszy zeszyt *Fortuny*, miesięcznika, pragnący uczyć zabawą, ujawnił już wesołą naturę pisma. Obok kilku powieści mieszczą się w nim najrozmaitsze fejletony lub artykuły, usiłujące w formie zachować jak najmniejszą wagę. Niektóre z nich nacechowane są szczerą chęcią wyskoczenia po nad przeciętną miarę tego rodzaju tworów. Zwłaszcza okazał tę chęć p. Is (Charaktery i talenty), który utłukłszy w swym moździerzyku wszystkie polskie mózgi i serca, rozsypał te lichą mieszaninę na cztery wiatry—gdyż „nie mamy nawet potężnych finansistów i bankierów,“ całą naszą mądrość chińczyk spisałby na ziarnku prosa, a całą uczciwość stoczyły różne moralne bakterye. Ponieważ frazes nie płaci tu ani prawdzie, ani logice żadnego podatku, więc hula sobie swobodnie. P. Bohusz w fejletonie zaznajamia nas, czemu „jest przeciwny,“ co „potępia,“ czego „nie znosi,“ wykłada teoryę walki o byt!—tu punkt oryginalności—dowodzi, że „o ile z historyi nauczyć się *możemy* (jak kto!) rozkwit sztuk pięknych był dotychczas zawsze wyrazem *upadku i rozkładu* społecznego,“ gdyż np. „kiedy Fidyasze rzeźbili posągi, motłoch ateński mędrców swoich częstował cykutą.“ Pomijamy, że nie *wiedy*, że rzeźba grecka przypada na epokę największego rozkwitu Grecyi, ale ponieważ najwięksi jej filozofowie: Sokrates, Plato, Arystoteles, Epikur itd. żyli w okresie *upadku i rozkładu*, z równą tedy słusznością wywnioskować można, że i filozofia jest kwiatem zgnilizny.

Nie zapuszczając się dalej w treść *Fortuny*, której, ze względu na zamiary postępowe, życzymy powodzenia i unikania środków kuryerkowych w złym guście (np. sprawozdawca teatralny podpisuje się Nie—Dykas?), zaznaczamy jeszcze, że ze swego rogu wysypała ona najszczęśliwiej poezye: M. Konopnickiej, W. Wysockiego i M. Bohusza. O powieściach, jako dopiero zaczętych, nie możemy sądzić.

Prędko. *Kur. warsz.* donosi, że p. Zabel, współredaktor *Nation. Ztng.* Opisując wrażenia swoje z kilkotygodniowego pobytu w Warszawie, wyraża się „z prawdziwą ekstazą o piękności i *cnotach* dam naszych.“ Przyznać trzeba, że p. Zabel prędko zdołał przekonać się „o cnotach dam naszych.“ Jest to chyba najszybszy ze znanych czynów reporterskich.

Muzyka. Znany kompozytor M. Hertz wydał szereg utworów do śpiewu: „Stary król“ (Heine), „Chłopca mego mi zabrali“ (Asnyk), „Gołąbki“ (Brodziński), „Szumi w gaju brzezina“ (Asnyk), „Piosnka o rycerzu Silentiusie“ (Deotyma) i „Nieżonaty“ (Ludwik z Pokiewia).

Wystawę obrazów Artura Grottgera zamierza urządzić w Krakowie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. Na początek nadesłał już hr. Stanisław Tarnowski ze Śniatynki, w którego domu artysta dłuższy czas przebywał, cały swój zbiór, złożony z dwudziestu kilku celniejszych obrazów i szkiców. Towarzystwo roześle prośby także do innych posiadaczy dzieł Grottgera, a wniosło już takąż prośbę do cesarza Franciszka Józefa, którego własnością jest *Wojna*, jedno z najwspanialszych dzieł artysty. W końcu zamierza wydać album, złożone z kompletnego zbioru utworów Grottgera.

W Krynicy, będącej jak wiadomo własnością rządu austr., utworzono obecnie zakład wodoleczniczy, którego kierownictwo powierzono dr. Henrykowi Ebersowi.

Wyspa Caprera na mocy układu, zawartego ze spadkobiercami, przechodzi na własność rządu włoskiego, który zamierza postawić na niej strażnicę i latarnię morską imienia Garibaldego.

Komitet dziełek ludowych we Lwowie wydał w roku bieżącym następujące książeczki:

W języku polskim: 1. Semen Smereka *Lutnia Jana Kochanowskiego*; 2. *Dobra córka*, czyli pomagaj sam sobie a Bóg ci pomoże; 3. Udziela Seweryn *Jak to przyjść do majątku*, złota książeczka dla rzemieślników; 4. Skiba Walenty *Za wiarę*.

W języku ruskim: 1. *Na koladu* (z 2 rycinami); 2. *Nawernenyj syn*; 3. *Ilko Fedorczuk*; 4. *Mandriwki Wojtowycza po świti bożim.*

Nagroda Bressa. W r. 1887 przyznaną będzie przez akademię nauk w Turynie nagroda Bressa w sumie 12.000 franków uczonemu lub wynalazcy, bez względu na narodowość, który w ciągu lat 1883—1886 dokona największego odkrycia lub napisze najlepsze dzieło z dziedziny nauk fizycznych lub doświadczalnych, historyi naturalnej, matematyki, chemii, fizyologii, patologii, geologii, geografii i statystyki.

Jubileusz. Słynny anatom wiedeński, dr. Józef Hyrtl obchodził 50 letni jubileusz doktorski w dniu 7 b. m. W uroczystym dniu tym ofiarował on 30.000 złr. srebrnej renty na rzecz dzieci ubogich. *Reforma* donosząc o tym fakcie dodaje słusznie: Czołem takiemu jubilatowi.

W kopalniach nafty w Słobodzie rungurskiej (koło Kołomyi) wybuchł w tych dniach w jednym ze szybów, jak się zdaje wskutek nieostrożności, pożar, który zniszczył domy, wierzchnie budowy nad szybami, maszyny i zapasy ropy przy szybach, należących do różnych przedsiębiorców a przeważnie do spółek żydowskich. Z polaków ponieśli częściowo szkody Torosiewicz J., K. Lewakowski i Stan. Szczepanowski. Straty wynoszą ogółem około 50.000 złr.

Szkoła dla telegrafistów w tych dniach otwartą zostanie z inicyatywy zarządu drogi Nadwiślańskiej.

Uskoki, powieść T. T. Jeża przetłomaczono na język nowo-grecki.

Dar. Muzeum w Krakowie otrzymało z Petersburga obraz współczesny, który przedstawia cesarza Pawła powracającego wolność Kościuszce.

Bibliografia. Kartezyusz. *Rozmyślania nad zasadami filozofii.* Przełożył Ignacy Dworzaczek. Warszawa. Wydanie kasy imienia Mianowskiego.

Drugi tom, powieść przez autora Plotek i Prawd. Kraków.

— Z. A. Szaniawski. Sprzęt, suszenie i przechowywanie zboża. Warszawa.

— Bolesław Bielinowicz. *Szkice historyczne.* Warszawa.

— Kiln. *Szkice*—VI. Ostatni. Warszawa.

Kontrabanda. Z powodu ciągłego wzmagania się kontrabandy, straż pograniczna ma być znacznie wzmocnioną, oprócz tego powiększoną będzie liczba strażników akcyznych.

Brak roboty. 1270 dziewcząt polskich z Górnego Szląska w d. 10 kwietnia przejeżdżało przez Wrocław do Saksonii i na Pomorze, aby tam szukać roboty w porze wiosennej i letniej. Z Wielkopolski, z powiatu Odolanowskiego w tym samym celu wiele dziewcząt wyjechało również do rozmaitych miejscowości Niemiec.

Zaburzenia studenckie, które spowodowały zamknięcie kilku uniwersytetów włoskich, ustały i po feryach wielkanocnych rozpoczęto na nowo wykłady.

Szkoły elementarne. Świeżo zatwierdzona uchwała Rady państwa stanowi, iż nauczyciele i nauczycielki szkół elementarnych w Królestwie będą mianowani bezpośrednio przez naczelników dyrekcyj naukowych, oraz że językiem wykładowym w szkołach wyłącznie będzie rosyjski, z wyjątkiem nauki religii i języka ojczystego uczniów.

Kornel Ujejski zamierza wydać cykl poematów, dwa z nich już ukończone obejmują 2.500 wierszy.

Zmarli. Ks. Kazimierz Wnorowski, biskup lubelski.

— Mikołaj Kostomarow, znany historyk rosyjski.

— Dr. Adolf Wolfram, asystent kliniki lekarskiej uniwersytetu jagiel., autor kilku prac naukowych ogłoszonych w *Gazecie lekarskiej* i *Przeglądzie lek*, w Krakowie.

— Prosper Lucas, uczony przyrodnik, autor wielce cenionego dzieła *O dziedziczności*, w Londynie.

— Karol Paszkiewicz, ostatni z Belwederczyków w Romanie w Rumunii; przeżył tylko o 3 tygodnie swego kolegę Leonarda Rettla, z którym podczas jubileuszu w r. 1880 bawił razem we Lwowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

A. Milow. w Tobolsku. Nie można.

P. Kor. Jag. Nie do druku.

Prenumeratorowi w Lublinie. Takiego nie ma.

Edw. Jeż w Petersburgu i *J. Domasz. w Kijowie* kop. 94.

M. Pł. w Chomęciskach. Nie można.

X. X. Ustęp ten jest nadużyciem stylowego porównania, które w nauce niczego nie rozstrzyga. Naprzód społeczeństwo, ściśle biorąc, nie stanowi *organizmu*, nie ma żadnych nerwów, ani zdrowych, ani chorych. Gdyby zaś miało „stępione,“ to znowu leczenie za pomocą przestrachu w sztuce nie wróciłoby im ani wrażliwości, ani zdrowia. Jest to więc po prostu pusty frazes, jeden z tych, których korcami wsypuje do śpichrza literatury najgłówniej—estetyka.

Kazim. Dubowin. w Jenotajewsku. Wysłaliśmy—należy nam się kop. 94. Będzie ukończona w roku bieżącym.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na [illegible]ztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Апрѣля 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świ[illegible]